Rok III. Nr 3.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO à PAULO.

Lipiec.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy.
1897.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna wynosi z przesyłką 2 fl. (4 mrk.).

Sprawa beatyfikacyi i kanonizacyi Wielebnej Służebnicy Bożej Ludwiki de Marillac,

wdowy Le Gras, współzałożycielki Sióstr Miłosierdzia.

Na prośbę przewielebnego księdza Rafała-Marya Virili, prałata rzymskiego i kierownika sprawy Wielebnej Sługi Bożej Ludwiki de Marillac-Le Gras, niżej podpisany kardynał, prefekt kongregacyi św. Obrzędów, komisarz w tejże sprawie, przedstawił na Posiedzeniu zwyczajnem tejże Kongregacyi świętej, odbytem w Watykanie w dniu wskazanem poniżej, stosownie do szczególnych postanowień Jego Świątobliwości Papieża Leona XIII z lat 1878 i 1895, następującą wątpliwość do dyskusyi: „Czy należy potwierdzić zdanie komisarza wybranego przez Jego Eminencyę kardynała, arcybiskupa paryskiego, że dotąd nie oddawano czci Wielebnej Służebnicy Bożej, i że zachowano dekreta papieża Urbana VIII w tym celu, o jaki się rozchodzi.

Rozważywszy i zbadawszy następnie wszystko dokładnie, a przesłuchawszy Wielebnego Ojca Don Gustawa Persiani, sprawującego urząd promotora Wiary świętej, osądziła taż święta Kongregacya, że należy odpowiedzieć: potwierdzająco. W dniu 5 stycznia 1897.

Kiedy to wszystko przedłożył niżej podpisany kardynał Ojcu św. Leonowi XIII, Jego Świątobliwość

ratyfikował i zatwierdził dekret świętej Kongregacyi w dniu 11 tego miesiąca i roku.

Kajetan Kardynał Alojsi Masella,
Prefekt Kongregacyi św. Obrz.

Dyomedes Panici,
Sekretarz Kongregacyi św. Obrzędów.

BREVE
Jego Świątobliwości Leona XIII Papieża
do J. Em. X. Kardynała Richard, Arcybiskupa Paryskiego

nadające mu władzę, koronowania statuę N. P. Niep. nazwanej od „Cudownego Medalu".

Kochanemu synowi naszemu Franciszkowi, Maryi Benjaminowi, świętego rzymskiego Kościoła kardynałowi Richard, z łaski Naszej arcybiskupowi paryskiemu Leon XIII, Papież.

Kochany Synu, Pozdrowienie i Apostolskie Błogosławieństwo.

Nic zaiste dla Nas milszego, jak mieć sposobność coraz to nowymi sposobami uczcić Niepokalaną Bogarodzicę, przez co składamy słuszne hołdy wdzięczności za Jej niezliczone dla rodzaju ludzkiego łaski, jak również przez to nabożeństwo do Tej Matki Miłosierdzia z dnia na dzień wzrasta. Właśnie kochany Nam syn, Przełożony Generalny Rodziny św. Wincentego, gorąco nas prosił, abyśmy Apostolską naszą mocą koronowali statuę Najśw. Panny Niepokalanej, zwanej „od Cudownego Medalu", wielce czczoną, znajdującą się w kaplicy Domu Macierzyńskiego Sióstr Miłosierdzia w Twem właśnie mieście Paryżu. Pobożnemu

temu pragnieniu musieliśmy zadosyć uczynić, a czynimy to tem chętniej, gdyż mamy głęboko w sercu pamięć, że to w tejże kaplicy miało miejsce objawienie się Najśw. Panny Niepokalanej i że tyle cudów się stało za pomocą cudownego Medalu z Jej rozkazu wybitego. Niemniej do udzielania tej łaski skłoniły nas zasługi całej świętego Wincentego à Paulo Rodziny, która idąc w ślady swego Ojca, zapalona miłością pełną gorliwości, poświęca się ku ratowaniu dusz i niesieniu ulgi cierpieniom ciała. Dlatego też wszystkich i każdego z osobna, tych, dla których to Breve wydane zostało, ze szczególnej łaskawości na pamiątkę tej rzeczy, uwalniamy i chcemy mieć za uwolnionych od wszelkich ekskomunik, interdyktu i innych cenzur kościelnych, jeżeliby w te popadli, Tobie zaś kochany Synu, którego gorliwa piecza nad powierzoną sobie owczarnią najlepiej zaleca, niniejszem pismem polecamy, abyś też statuę Najśw. Panny Niepokalanej od Cudownego Medalu, znajdującą się w kaplicy Domu Macierzyńskiego Sióstr Miłosierdzia w Twem mieście Paryżu, w dniu przez ciebie oznaczonym, w uroczysty sposób w imieniu i na mocy Naszej ukoronował. Rozkazujemy zarazem, aby przy tejże koronacyi te przepisy dokładnie przestrzegane były, które poprzednicy nasi Grzegorz XVI Papież, wydał przy koronacyi, Obrazu Najśw. Panny Niepokalanej w kaplicy Watykańskiej. Aby wreszcie ta uroczystość więcej ku dobru dusz się obróciła, wszystkim obojga płci wiernym, prawdziwie skruszonym i przyjmującym Komunię św. w dniu tej koronacyi lub w dniach siedmiu bezpośrednio następujących, dobrowolnie obranych, odwiedzającym pobożnie też kaplicę i gdy tam przed tąż statuą Najśw. Panny Niepokalanej pomodlą się o zgodę panów chrześcijańskich, o wykorzenienie herezyj za

nawrócenie grzeszników i o podwyższenie Kościoła, Matki naszej, udzielamy zupełnego odpuszczenia ich grzechów wszystkich i zezwalamy, aby odpust ten zupełny mógł być ofiarowany za dusze wiernych zmarłych, które pojednane z Bogiem z świata tego zeszły. Nic temu Pismu nie stoi na przeszkodzie.

Dan w Rzymie, u św. Piotra, pod pierścieniem Rybaka. 2 marca 1897,

Pontyfikatu Naszego roku dziewietnastego.

Za zgodność z oryginałem:

Ks. A. Milon, *Alojzy Kard. Macchi.*
Sekr. gen.

Kazanie na cześć św. Wincentego a Paulo

wygłoszone przez J. E. ks. Freppel, biskupa d'Angers, w kościele księży Misyonarzy w Paryżu dnia 19 lipca 1858 r.

Laudent eum opera eius.
Niech go chwalą uczynki jego.
(Prov. XXI. 31).

Moi Bracia!

Jeśli w historyi pojawi się jakiś człowiek, który pozostawia za sobą imię głośne, to pierwsze pytanie, które się nam nasuwa, jest naturalnie to: Co zrobił,

*) Ks. biskup Freppel był profesorem wymowy kościelnej w Sorbonie w Paryżu, a nie był jeszcze biskupem, kiedy wygłosił to kazanie. Urodził się on w roku 1827, odebrawszy wykształcenie naukowe w Alzacyi, został w Paryżu kanonikiem przy kościele św. Genowefy i profesorem Sorbony. Wyświęcony na biskupa d'Angers r. 1869, wybrany został nieco później deputowanem do Parlamentu. Równie był poważany w izbie, jak i pomiędzy biskupami katolickimi. Pisma jego: *Cours d'éloquençe sacrée sur les Péres de l'Eglise, Oeuvres pastorales, Oeuvres polémiques,* są jakby wymowną i gruntowną encyklopedyą kwestyi religijnych w tej epoce.

lub co zdziałał. Każdy bowiem człowiek, niech to będzie kto bądź, może tylko z dzieł nabyć rozgłosu. Czy te dzieła idą w zapomnienie z jego śmiercią, czy też pamięć jego żyje w nich, czy one stają się bezskutecznemi, czy też zdoła im nadać siłę rozwoju bezustannego, w każdym razie one jedynie wyciskają ślady jego życia na ziemi; w obec Boga i ludzi nie będzie innym tylko takim, jakiemi były sprawy jego. Dlatego to wyrzekł król Salomon te słowa: „Niech go chwalą uczynki jego“ — *Laudent eum opera ejus.*

Jeżeli więc tak jest moi bracia, wskazany mi już sposób, w który mam mówić. Mając dziś mówić o człowieku, którego imię jest na ustach wszystkich i który żyje w sercach wszystkich o człowieku, który podziw umiał uczynić dla siebie niemym, lub przynajmniej niemoże się spodziewać pochwały, ponieważ trudno bardzo wypowiedzieć ją godnie, mając mówić o takim mężu, takie sobie zadaję pytanie: Co on uczynił lub co sprawił. A jeżeli dane mu było dokonać tu dzieła wielkiego i trwałego, jaka cecha tego dzieła, jak się ono objawiło? Skąd to pochodzi, że nie masz żadnego dzieła ludzkiego, któreby większem jaśniało blaskiem, i któreby budziło podziw wszystkich w takim stopniu? Skąd to wreszcie pochodzi, że wobec tego człowieka, pochodzącego z tak niskiego stanu, a który doszedł tak wysoko, gaśnie i niknie wszelka sława ludzka i to tak dalece, iż nie mogę wymówić imienia jego, żebym się nie wzruszył aż do głębi mojej duszy i żeby nie zadrżały wasze serca? Oto moje zadanie. Trzeba mi szukać w dziełach św. Wincentego a Paulo źródła jego chwały i przyczyny, dla której żyje w sercach i pamięci ludzi.

Aby zaś wam przypomnieć dzieła jego, moi bracia, powiem wam tylko to: sporzyjcie wkoło siebie,

one wszystkie są przed oczyma waszymi. Bóg zgromadził je w tej chwili wkoło relikwij tego świętego, jako żywe świadectwa jego chwalebnej płodności. Ale ograniczam się tylko do tego, aby stwierdzić trwałość dzieła, które mam roztrząsać samo w sobie, aby wam wyjaśnić dziwne jego urządzenie. Mówię więc, a w tem się zawiera cała moja myśl: św. Wincenty zorganizował poświęcenie chrześcijańskie w czasach nowożytnych. Oto wielkie dzieło, którego tu dokonał, a dzieło to stanowi zasługę jego przed Bogiem i chwałę jego przed ludźmi.

I.

Twierdzić, że św. Wincenty a Paulo zorganizował poświęcenie chrześcijańskie w czasach nowożytnych, to znaczy powiedzieć, że znalazł już przed sobą zarodki dzieła swego. Bo poświęcenie istnieje nie od wczoraj; ma już za sobą więcej niż szesnaście wieków w historyi. Powstało z słowa i czynu daleko większego jeszcze, niż samo to słowo. Powstało wtenczas, kiedy Jezus Chrystus powiedział do ludzkości: „Cokolwiekeście uczynili jednemu z tych braciej mojej najmniejszej, mnieście uczynili“, i dosięgło swego szczytu i otrzymało uświęcenie Boże w chwili, kiedy Chrystus, znacząc krwią swoją prawo ofiary, objął cały świat rozległością swego poświęcenia. Oto źródło miłosierdzia chrześcijańskiego: słowo Boże powtarzane echem tradycyi od pokolenia do pokolenia i krew Boga, która spływając na dusze, dodawała do skuteczności słowa Bożego wszechmoc Boskiego przykładu. Oznaczając więc górę Kalwaryi jako miejsce, na którem powstało poświęcenie chrześcijańskie, i z którego się rozszerzyło, nie chcę bynajmniej twierdzić, że przed tem wielkiem zdarzeniem nie było nigdy żadnego pięknego

dowodu poświęcenia. Nie mówiąc już o narodzie żydowskim, który posiadał wszystkie dzieła chrześcijańskie, jakoby w zarodku i pod figurą. Natura ludzka tak osłabiona wskutek namiętności i błędów poganizmu zachowała jeszcze dosyć sił, aby zdolną być do jakiejś ofiary. Poświęcenie objawiało się wśród świata starożytnego pod dwiema formami: miłość rodziny i miłość ojczyzny; i właśnie tam znajdujemy piękne świadectwa obok tylu innych wypadków, w których samolubstwo pozostawiło krwawe ślady swojej nienawiści i okrucieństwa. Ale poświęcenie się człowieka za innego bez względu na pochodzenie i narodowość, mniejsza o to czy to Grek, czy barbarzyniec, czy człowiek wolny, czy niewolnik, to poświęcenie powszechne i zupełne, któreby się potęgowało w miarę jak się szerzy i któreby powiększając się samo przez się nie zatrzymywało się ani się liczyło z tem, że poświęca cierpieniu i ubóstwu wszystkie swoje siły i życie, to poświęcenie było albo zupełnie nieznane, albo prawie nieznane; a tłómaczy się to tylko temi dwiema rzeczami, które właśnie wymieniłem, t. j. słowem Bożem podtrzymywanem i wzmacnianem przykładem Boga.

Tak więc źródło poświęcenia chrześcijańskiego jest w słowie i przykładzie Bożym, a stąd ma swą podwójną siłę. Nie będę wam mówił o tem, co ono zdziałało, bobym nieskończył i odstąpiłbym zbytnie od przedmiotu. Aby wam jednak przedstawić prawdziwą cenę dzieł św. Wincentego a Paulo, i aby wskazać wam miejsce, jakie one zajmują w historyi poświęcenia chrześcijańskiego, muszę w kilku słowach zebrać to, co wieki przeszłe mu podały jako podstawę jego cudownej działalności!

Kiedy się przeniosę myślą do samej kolebki Ko-

ścioła, na pierwszy rzut oka spostrzegam, że pierwszym przedmiotem jego troskliwości było zorganizować miłosierdzie; aby zaś głębiej spojrzeć w tę, poczynającą się organizacyę, należy mi ją sprowadzić do trzech głównych rodzajów, to jest: składki, uczty miłosierdzia i niesienie usługi drugim.

Myślicie może moi bracia, że to co tu mówię jest bardzo prostem, i że nie potrzebował kościół Boskiego charakteru, aby się zdobyć na te trzy rzeczy. Otóż nie tak. Trzy te, pozornie całkiem proste dzieła, które właśnie wymieniłem, sprowadziły za sobą zupełny przewrot w pierwszej nawet chwili istnienia. Składki chrześcijańskie! Ale kto pomyślał kiedykolwiek przedtem o utworzeniu tej głównej podstawy przychodzenia z pomocą, ktoby był marzył o utworzeniu koryta dla tej rzeki prywatnych jałmużn, która powiększając się tem wszystkiem, na co natrafia w swym biegu, unosi aż do ostatnich krańców ziemi jako daninę braterską grosz wdowi i hojne jałmużny bogacza. Czyżby to nie było objawem dziwnym, niesłychanym, gdyby się to dzieło miało rozpowszechnić wpośród tego świata samolubstwa, jakim był świat pogański. Apostoł Paweł św. pisząc do Koryntyan względem chrześcijan Palestyńskich, powiedział im: Co się tyczy składek, jakie się zwykły czynić dla świętych, *de collectis, autem, quae fiunt in Sanctos,* czyńcie tak, jako poleciłem kościołom w Galacyi: pierwszego dnia szabatu każdy z was niech odkłada u siebie, co mu się podoba. Kiedy więc w ten sposób odezwał się do świata całego, aby uleczyć kilka zaniedbanych ran, czyż przez ten czyn jawny i dotykalny nie zaznaczył panowania miłosierdzia, które niema innych granic, chyba czas i przestrzeń, a o którem rzekł Tertulian do cesarzy pogańskich: *Unam*

omnium agnoscimus rempublicam mundum. Znamy jedno tylko społeczeństwo, mianowicie świat.

Było to więc w pierwszych czasach Kościoła nowem, lecz bardzo pożytecznem odkryciem, żeby przez składki przychodzić sobie nawzajem z pomocą braterską. To prawda, że po 18 wiekach, w chwili, w której mówię, nie czynimy my chrześcijanie nic innego, tylko to, co zalecił Paweł św. Kiedy podniesie się krzyk skargi z jednego punktu kuli ziemskiej, kiedy nagła klęska pogrąży lud chrześcijański w żałobie i nędzy, natenczas składki chrześcijańskie, błogosławione przez Kościół, pobudzane poświęceniem, zbierają się we wszystkich stanach i z północy i z południa i ze wschodu i z zachodu, zewsząd, gdzie się znajdują serca czułe i tkliwe; dla nas bowiem, jak dla Pawła św. niema ani Macedonii, ani Galacyi, ani Palestyny; poświęcenie niema ojczyzny, nie włada żadnym językiem, ojczyzną jego są wszystkich serca, miejscem działalności jego cały świat: *unam omnium agnoscimus rempublicam.*

Nie koniec na tem, kiedy jako pierwsze źródło wsparcia zaprowadzono składki chrześcijańskie, potrzeba było nadto, żeby pod inną jeszcze wybitniejszą formą, objawił się świat katolicki w oczach świata pogańskiego. Nie mogę wam wypowiedzieć, moi bracia, jakie mnie ogarnia uczucie, myśląc o drugim wspaniałym pomyśle pierwszych czasów chrześcijańskich. Wokoło jednego stołu zasiedli bogacze i ubodzy, wielcy i mali, słudzy i panowie, chwilka jeszcze, a zatrze się godność i stan w jednakowej miłości, a nasyciwszy wszystkich ciała tymże samym pokarmem, uwieńczy się ta uczta miłości pokarmem dusznym; oto myśl, jaką powziął i urzeczywistnił Kościół w pierwszych czasach istnienia swego. Bezwątpienia, było to tylko

zjawiskiem chwilowem, nie dającem się zastosować w większej mierze i ten objaw dobroczynności chrześcijańskiej dał się wykonać tylko wtedy, kiedy kościół był jeszcze w stanie niemowlęctwa; a mimo to chwałą na wieki dla Kościoła, iż już od swego początku dążył do miłości doskonałej i ilekroć będzie potrzeba silnego przykładu do poświęcenia się, to z pewnością na wspomnienie tych wspólnych uczt, jakie niegdyś urządzała miłość chrześcijańska, zarówno bogatym, jak i biednym, z większem uczuciem wiary szanować będziemy równych sobie i gorętszą miłością ukochamy swych braci. Oto dwa wielkie dzieła, od których Kościół zaczął panowanie miłości wzajemnej na świecie: składki i uczty wspólne. Ale dalej jeszcze posunął się chrystyanizm początkujący w organizowaniu miłosierdzia. Ażeby ustanowić to, co nazywał obsługą stołu, t. j. usługiwanie biednym, wcale nie wachał się przeznaczyć do tak wzniosłej posługi takich, co nosili na sobie nawet charakter święty. I chociaż w zamiarach bożych dyakonat miał wyższy cel, dla którego został ustanowiony, mimo to nie wachał się Kościół złączyć usługę ołtarzów z usługą biednych; wyraźnie polecił, żeby ci sami mieli obowiązek usługiwania biednym, co mieli prawo służenia przy ołtarzu.

Usługiwanie biednym, mówiąc za św. Augustynem jest prawdziwie urzędem świętym i pewnym nawet rodzajem sakramentu. I nie myślcie, że ta święta śmiałość Kościoła nie pozostawiła śladów dobitnych miłosierdzia. Owszem, przez całe cztery wieki łączyło się to podwójne usługiwanie w jednym i tymsamym urzędzie; a kiedy w trzecim wieku naszej ery dyakon św. Wawrzyniec, idąc za uczuciem wiary odezwał się do prefekta miasta Rzymu, wskazując na ubogich, zebranych koło niego: *„Ili sunt thesauri Ecclesiae“*.

„Oto skarby Kościoła“. Wygłosił to głośno, co miał zatwierdzić krwią swoją męczeńską, że po łasce i Krwi Jezusa Chrystusa, nie masz nic w Kościele cenniejszego nad ubogich, i aby go pozbawić tych skarbów, których straż poleca swym sługom, nigdy niema na to dosyć mocy tyrania, ani prześladowanie dosyć okrucieństwa.

Tak moi bracia, było czemś bardzo dziwnem dla świata pogańskiego powstanie dzieł miłosierdzia, których trzy pierwsze objawy wam wskazałem. Siląc się zrazu, aby potwarzą na to odpowiedzieć, przechodzą potem w zdumienie, a wkrótce i w uwielbienie. Patrzcie, jak się miłują. Taki to okrzyk powstał we wszystkich częściach świata bałwochwalczego.

A okrzyk ten był zarazem okrzykiem bezwładności i wymuszonego podziwu. Kiedy cesarz Julian, co całą swą zdolność zużył na to, aby przywrócić upadły stan rzeczy, kiedy ten ostatni z pogan silił się, aby podnieść z nim budowę na gruncie kruchym, nagle stanęło mu w drodze miłosierdzie chrześcijańskie; a nie mogąc się na nie zdobyć, usiłował przynajmniej podnieść walkę przeciw niemu.

Robił wtedy to, co później będzie robił protestantyzm wobec św. Wincentego à Paulo. Za słaby do naśladowania katolickiego poświęcenia, chciał się przynajmniej okryć jego maską. Już nie będę odtąd, mówił do swych zwolenników, biednych naszych żywią ci galilejczycy. Ale wołanie Juliana było próżne. Poświęcenie chrześcijańskie nie zwracało na to uwagi i postępowało coraz, dalej, aż nareszcie zwyciężony takim heroizmem świat starożytny zapomniał w objęciach miłosierdzia o swej nienawiści, podobnie jak wyrzekł się swych błędów pod wpływem potężnego Słowa Bożego.

Otóż moi bracia, w chwili, z której, przebiegając myślą historyę wychodzę, abydojść do świętego Wincentego, poświęcenie chrześcijańskie staje twarzą w twarz wobec świata zupełnie nowego. Dziwnem zaiste było utworzenie się dzieł miłosierdzia chrześcijańskiego w pierwszych wiekach kościoła, lecz ze zwrastającą ilością nieszczęść zwrastać muszą i środki im zabiegające. W średnich wiekach zrozumiano doskonale zasadę postępowania w dobrem, toteż, aby bólom ulgę przynieść, wzbogacono miłość chrześcijańską dwoma nowymi pomysłami a mianowicie szpitali chrześcijańskich i zakonów, mających pieczę nad nimi.

Czuję, bracia moi, iż ustawicznie spotykam się z jedną trudnością w moim przedmiocie. My, katolicy, XIX. wieku, tak oswoiliśmy się z podobnemi rzeczami, iż wcale na to uwagi nie zwracamy, bo się nam to wydaje zupełnie prostem i naturalnem; i to jest właśnie dla poświęcenia chrześcijańskiego najlepszem świadectwem jego płodnej działalności, iż już nawet podziw uniemożliwia. Ale przypuśćmy, żeby powiedziano filozofowi pogańskiemu Sokratesowi np. Platonowi: Będzie w historyi ludzkości taka epoka, gdzie bieda i nędza, będzie posiadać swe pałace, gdzie każde miasto, każda wioska świata ucywilizowanego otworzy schronisko dla nieszczęśliwych, a wyjąwszy świątyni Boga, nie będzie na ziemi miejsca świętszego i więcej szanowanego od tych przytułków biednych i chorych; gdyby, mówię, w ten sposób się odezwano do podobnych ludzi, co nie przypuszczali nawet żeby mogła postać podobna myśl w duszy śmiertelnika, uważaliby podobne przepowiednie za czcze urojenia, albo byliby raczej już naprzód błogosławili i wielbili w uniesieniu religię zdolną nietylko przedsięwziąść ale i wykonać rzeczy tak wielkie. Otóż czego nawet nie przypuścił

umysł ludzki, tego dokonał Kościół w wiekach średnich, i w naszych czasach dalej to rozwija. Podczas gdy jedną ręką wznosił Bogu tak wspaniałe świątynie, że niezdolniśmy do niczego więcej jak tylko, aby je naśladować, to drugą pobudował szpitale obok katedr lub w bliskości swych klasztorów. Aby powiększyć ich liczbę, pobudził gorliwość ludu i hojność książąt, osłonił ich dobra przez to, że udzielił im przywileju nietykalnosci. Uzbroił swych kapłanów władzą wyklinania, aby oddalić wszelki zamach na to, co nazywają szpitalem, *hospitium Dei* i wystawił takie mnóstwo podobnych szpitali, iż już niema w Europie okolicy w którejby cierpienie nie miało swego szpitala a ubóstwo swego przytułku i posługujących jemu.

Łatwo można zrozumieć moi bracia, że założenie prawie w cudowny sposób szpitali wydało samo w sobie jako następstwo i uzupełnienie, drugi sposób wspierania biednych t. j. zakony opiekujące się szpitalami. Nie dość na tem, że ubodzy mieli swe szpitale, lecz oprócz tego potrzebowali jeszcze ludzi, którzyby mieli nad nimi pieczę. Zaradził temu Kościół. Kilka zaledwie słów Ewangelii św. wystarczało, aby uczynić ten cud. Złączając w jednę harmonijną całość życie czynne i życie bogomyślne, nakreślił Kościół reguły pewne względem poświęcenia i jako główną zasadę wytknął zaparcie się samego siebie, jako prawo zaś wytrwanie w zgromadzeniu na mocy ślubu, który kościół przyjął, a Bóg zatwierdził. To także zdaje się wam bardzo prostem, lecz prostem to jest o tyle, o ile prostem jest wszystko prawdziwie wielkie i prawdziwie boskie. Zakony te, powstałe z natchnienia Bożego, jako wynik rad ewangelicznych, rozszerzyły się wkrótce pod przeróżnemi formami, aby zaradzić różnym nieszczęściom. Ilekroć tylko spadła klęska nowa na społeczeństwo ludzkie,

zawsze znalazło się zgromadzenie, starające się jej zapobiedz. We wszystkich gałęziach nędzy ludzkiej miało poświęcenie katolickie swych sprzymierzeńców, nawet dla trędowatych i zarażonych morowem powietrzem. Kiedy barbarzyńcy mahometanie nie potrafili podbić Europy pod swe panownie, zemścili się w ten sposób, że włożyli kajdany na mieszkańców Europy, zabranych w niewolę, lecz za staraniem Trynitarzy i zakonników od wykupu niewolników zaczęto ich zniewoli wyzwalać. Przez trzy wieki miało miłosierdzie nawet swe rycerstwo, wojsko stałe i dobrze urządzone. Rycerze maltańscy osłaniali jedną ręką grób Jezusa Chrystusa przed niewiernymi, drugą zaś uświęcali rycerski swój zawód posługując biednym. Wszystko zmierzało do jednego celu: wszystko spieszyło z pomocą rozwijającej się bujnie miłości chrześcijańskiej: papieże otoczyli ją swem błogosławieństwem, królowie otworzyli swe skarby, szlachta poświęciła swych synów, lud zaś naśladował ich w tem, w czem mógł, czego zaś niemógł naśladować, to błogosławił i gdyby nic nie powstrzymało szerokiej działalności miłosierdzia chrześcijańskiego, gdyby nie osłabiono jej przez rozdział, i gdyby nie rozerwano gwałtownym sposobem tej jedności długiej, która stanowiła jej sławę i siłę, Europa byłaby spokojnie te dzieła rozszerzyła i nastąpiłaby przyszłość świetna a wieniec chwały byłby uwieńczył dzieło miłosierdzia. Z rządzenia Opatrzności stało się inaczej. Reformacya potargała więzy miłości braterskiej i tem zadała straszny cios dziełom miłosierdzia katolickiego. Niszcząc z jednej strony przez samolubstwo samą istotę zgromadzeń, wstrzymując rozwój dzieł miłosierdzia, rozgłaszając ich nieużyteczność i łamiąc zuchwale śluby przez samego Boga zatwierdzone pomnożyła za to z drugiej strony nieszczęścia na świecie,

nie mając sposobu zapobieżenia im. Nastąpił wiek wojen i krwawych zatargów, który pozostawił straszne spustoszenia i wszystko pogrążył w głębokiej żałobie. Nędza ludzka doszła do swego szczytu, miłość ustąpiła miejsca bratnim niezgodom, dusze opanowała chciwość bogactw, materyalizm straszny ogarnął cały świat: oto owoce reformacyi, która jeszcze po dziś dzień wywiera swój zgubny wpływ. W tedy to Bóg nie odwrócił oka od biednego i nie zapomniał o nędzach jego, i kiedyśmy siali rozterki i niezgody, w tedy Bóg zesłał męża, który potrafił ująć dzieło poświęcenia katolickiego tam, gdzie wieki średnie je zostawiły. W tym celu obdarzył go umysłem stałym i prawym, uczynił go zdolnym do wielkich pomysłów i zamiarów; w serce jego wszczepił wielką miłość ku biednym i stawiając go na progu wieków nowożytnych, włożył na niego obowiązek odrestaurowania dzieła miłosierdzia. Człowiekiem, którego Bóg do tak wzniosłego zadania powołał jak wiecie dobrze, moi bracia, jest św. Wincenty à Paulo. Wypada się więc zastanowić nad jego działalnością. To jest przedmiotem drugiej części tego kazania.

II.

Dopiero co skreśliłem szeroko sposób formowania się dzieł miłosierdzia w pierwszych czasach Kościoła i wiekach średnich. Widzieliśmy że nowe dzieła, powstając z natchnienia Bożego i z potrzeb czasu, łączyły się z dawniejszemi, które się zmieniały i odnawiały. Teraz zaś wypada mi wskazać cechę charakterystyczną działalności św. Wincentego i miejsce, jakie zajmuje w historyi chrześcijańskiego poświęcenia. Aby myśl moją przedstawić o ile możności jak najdokładniej, użyję ku pomocy przykładu, który jest w sto-

sunku prostym do miłości, t. j. wiary. Albowiem, chociaż same w sobie różne, to jednak do tego samego celu zmierzają i wiara, i miłość, i każdy, co otrzymuje od Boga wzniosłe posłannictwo, otrzymuje je na to, aby dokonać wielkiego dzieła albo w przedmiocie wiary, albo w przedmiocie miłości.

Cztery wieki przed św. Wincentym a Paulo jeden z tych ludzi, których Bóg powołuje od czasu do czasu na wykonawców swych zamiarów, uczuł w sobie powołanie, aby zebrać wszystek zasób pojęć chrześciańskich, jakie powstały od czasu św. Pawła aż do św. Augustyna i od św. Augustyna aż do jego czasów. Powołany do tego celu, zbiera ten cudowny mąż wszystko, co mu się pod rękę nasunie, wszystkie dzieła i pojęcia, jakie mu przekazała tradycya chrześciańska; zebrał je razem i połączył pięknie i uporządkował, rozebrał i zbadał je rozumowo, ustawił w pewnym porządku prawdy przyrodzone, uporządkował je, jakoby w pewien wspaniały perystyl, który okala świętą budowę; wnikając następnie głębiej, uporządkował prawdy nadprzyrodzone, które są podobne do kolumn, a mając ziemię za punkt oparcia, samego nieba sięgają; i cała ta budowa rozumowa tchnie Bogiem, który ją ożywia i przenika; wystawił na widok publiczny ten przybytek prawdy, którego fundamentem jest wiara, ozdobę jego stanowi miłość a nadzieja wieniec chwały jego; budowa dokonana jego rękami jest podobna do tych olbrzymich pomników współczesnych, które odrywają wzrok od ziemi i zwracają go aż do obłoków. Męża tego znacie wszyscy, jest nim św. Tomasz z Akwinu, i żadne dzieło nie objawia w większym stopniu ducha organizacyi, jak „*Summa theologica*“ św. Tomasza z Akwinu. Otóż mówię że św. Wincenty był w XVII wieku ten w przedmiocie miłości, czem był w wieku

XIII. doktor Anielski. Był, jeśli się mogę tak wyrazić, Tomaszem z Akwinu w przedmiocie miłości. Taka jest cecha jego dzieła i taki cel jego posłannictwa.

On także tak prosty i tak wielki, udarowanym został od Boga duchem organizacyjnym, i jako Tomasz z Akwinu, tak i on przekazał światu swą sumę, sumę wspaniałą, mianowicie sumę dzieł swoich. Zebrał razem wszystkie sposoby, które w przeciągu wieków wynalazło poświęcenie katolickie na zapobieżenie nędzy i biedzie, a uzupełniając spadek przeszłości, wzbogacił go nowymi, daleko wiekszymi pomysłami, przekazał potomności organizacyę dzieł miłosierdzia taką, że kościół św. uważa ją słusznie za najpiękniejszą swą ozdobę w wiekach nowożytnych. Oto takie posłannictwo dała Opatrzność temu wielkiemu człowiekowi. Nie będę opisywał jego życia, aby to udowodnić. Miałem już szczęście przedstawić wam je z tej mownicy, więc przypomnieć wam tylko mogę to, co wszyscy już wiecie. Czy był w wiekach przeszłych jakikolwiek instytut dobroczynny, któregoby on nie był odnowił, odrestaurował, lub powiększył? Czy było jakie dzieło miłosierdzia, któreby się nie było połączyło jako nowe ogniwo do tego łańcucha dzieł, które się po dziś dzień jeszcze znajdują? Od szpitala miejskiego, który przekształca, do zakładu dla obłąkanych niewiast w Paryżu, który buduje, od chorych, którym niesie ulgę, do biednych, których karmi, od starców, których zbiera, do dzieci podrzuconych, którym życie ocala, na wszystkie dzieła, w których uwalnia galerników, wykupuje niewolników, funduje różne zakłady, otwiera przytuliska, stawia nowe szpitale, na wszystko to z podziwem patrzy świat, jak na cuda 50. letniej jego działalności. Czyż to nie jest właśnie tu w przedmiocie miłości tensam rozległy i dziwny układ, który dopiero podziwialiśmy w przed-

miocie wiary. Czyż nie w obydwóch tażsama wielkość ducha i bystrość oczu obejmuje i spaja w sobie wszystkie części tego wielkiego ogromu.

A jeżeli prawda, że nie można zaczepić żadnej tajemnicy w przedmiocie wiary, żeby nie mieć naprzeciwko sobie imienia geniuszu św. Tomasza z Akwinu, tak też ilekroć usiłuje poświęcenie objawić się pod nową postacią, ilekroć duet chrześcijański, wiarą przejęty, objawi się wśród nas w jakiemś dziele pożytecznem, to zastanowiwszy się nieco nad początkiem tych wielkich dzieł, znajdziemy obok palca Bożego, który wszystko wprawia w ruch, rękę i serce św. Wincentego a Paulo. Prawdą to jest, że człowiek ten zebrał wszystkie dzieła miłości i złączył je w majestatycznie harmonijną całość. Lecz św. Wincenty zrobił więcej. Uzupełnił nowym całkiem żywiołem tę sumę dzieł miłsierdzia, na którą składało się 16 wieków natchnienia i wiary. To jest, jeźli się tak wyrażę, zupełnie nową i oryginalną stroną jego działalności; tu się ukazał jego umysł prawdziwie twórczy. Kiedy mówię, że tu pokazał święty Wincenty a Paulo siłę twórczą swego ducha, bynajmniej nie myślę twierdzić, że nic podobnego nie mogły mu wskazać dzieje poświęcenia chrześcijańskiego, bo zupełnie ma się tak samo z miłością, jak z wiarą: *non nova, sed nove.* Ta zasada postępu normalnego i regularnego zarówno dotyczy dobra jak prawdy. Nic całkiem nowego tu nie powstaje, albo przynajmniej nic takiego, coby się nie odnosiło pod pewnym względem do jakiegoś dzieła dawnego, które nowym służy za podstawę. Śmiem jednakże twierdzić, że dzieło, o którem chcę mówić jest własnością św. Wincentego, jeżeli nie w swojej zasadzie, to przynajmniej w formie i zastosowaniu, które on mu nadał.

Bóg, moi bracia, Bóg, który wszystko co zrobił, zrobił dobrze, umieścił w nas siłę główną, którą zamknął w tem, co jest najsłabszem, co jest najdelikatniejszem. Kiedy człowiek przychodzi na świat, znajduje już przy sobię tę moc, która mu zastępuje siłę, jakiej mu jeszcze brakuje. Nią wsparty przebywa przestrzeń, oddzielającą go od kołyski do wieku młodzieńczego. Później, i to w chwili, kiedy go opuszcza ta siła opiekuńcza, szuka jej około siebie w innem sercu. Jeźli Bóg sam nie staje się wyłączną jego siłą, jeżeli nie sprawi tego, iżby życie jego przechował w balsamie niebieskim samotności, która się nazywa celibatem, w takim razie, powtarzam, jeżeli niema tej łaski, największej z pomiędzy wszystkich łask, człowiek jest za słaby aby się obejść bez takiej pomocy; z wyjątkiem bowiem łaski Bożej niemasz nic dla niego więcej pocieszającego, jak znaleść przy sobie czy w szczęściu, czy w nieszczęściu tkliwość i współczucie, co jest tu na ziemi najsilniejszą pobudką kochania.

Otóż należało odwrócić tę siłę, tę potężną pobudkę kochania, która jest najsilniejszą z pomiędzy wszystkich, jakie Bóg dał, od wszelkiego innego przedmiotu, aby ją zwrócić ku nędznym i strapionym. Oto wielkie zadanie. Odważam się powiedzieć, że przedstawiało to zadanie wiele trudności samo w sobie, albowiem, aby dopiąć celu tego, trzeba było, żeby nie otrzymało to poświęcenie żadnego nadwyrężenia w stykaniu się ustawicznem ze światem, żeby rozwinąwszy swą siłę charakteru, zwróciło myśl swą ku poznaniu własnej nicości, i aby wpośród wzrastających niebezpieczeństw, zachować nienaruszenie dziewictwo swoje. Tu właśnie tkwiła ta trudność, którą sam Bóg tylko mógł usunąć. Usunął ją Bóg przez św. Wincentego a Paulo.

Ale jakże się to stało. Tu przyznaję się bracia moi, że się czuję zawstydzonym. A co mnie zawstydza, to nie tyle ta trafność w sądzie i ten dziwnie zdrowy zmysł, nie tyle ta pewność oka, ani ta przenikliwość spojrzenia, co widzi wszystko aż do głębi, ani ten ład, ani ta umiejętność w postępowaniu, ani ta łatwość w rozpoznawaniu, ani nawet ta doskonała znajomość dusz, choć wszystko to stawia św. Wincentego a Paulo na pierwszem miejscu między założycielami dzieł. Wszystko to podziwiam, lecz co mnie zadziwia najwięcej, to ta boska śmiałość, w którą wprawiła tego człowieka żywa jego wiara. Gdzież on znajdzie broń, aby zasłonić poświęcenie przed własną słabością? Gdzież znajdzie bezpieczne schronienie dla dziewictwa? — W poświęceniu samem.

Ustawiczne wypełnianie swego obowiązku, tak, iż żadna chwila nie będzie bez ofiary, miłość Boga i biednych od rana do wieczora w pocie czoła zachowa czystość anielską w własnem ciele. Posłuchajcie chrześcijanie tego nowego prawa poświęcenia nakreślonego ręką geniusza z natchnienia Bożego: „Nie będziecie miały innych klasztorów, jak tylko domy biednych, ulice miejskie i sale w szpitalach, żadnej innej klauzury, jak tylko posłuszeństwo, a zasłoną waszą będzie skromność“. Cóż śmielszego, jeżeli to może być śmiałością z Bogiem postępując. Nie boi się św. Wincenty, aby nie pozbawić poświęcenia siły dając mu zupełną wolność. Zamiast przywiązać do ubogich wiecznym węzłem, chce, żeby co rok przymnażać sobie zasługi nowem poświęceniem, i żeby tak ciągle przedłużana ofiara dobrowolnie i rozważnie znalazła na przyszłość ubezpieczenie przez doświadczenie w przeszłości nabyte. Wielki mężu! jakiego jesteś godzien podziwienia! Nie omyliłeś się w dziele

twem nieśmiertelnem; doświadczenie nie zaprzeczyło mądrości i głębokości zamiarów twych. Dwa już wieki świat posiada dzieło, jakie mu przekazałeś i wśród tylu głosów, co zgodnie je chwalą i błogosławią, nie zdobyła się krytyka ani na jednę naganę, a oszczerstwo nie znalazło żadnego odgłosu.

Ach! pozwólcie moje drogie siostry, niech w tej chwili wynurzy się nasze serce kapłańskie przed wami i niech nasz podziw spłynie z waszego założyciela na was, co stanowicie chwałę jego tu na ziemi, albowiem jesteście dziełem jego wiary i jego geniuszu. Nie potrafię lepiej uczcić św. Wincentego a Paulo jak tem, że przypomnę wam hołd, jaki wam świat złożył czy to dobrowolnie czy nie. Czyż nie patrzyły na was od początku wszystkie narody z podziwieniem; czyż nie stawał z uszanowaniem i szacunkiem przed wami wiek ośmnasty, wiek, który sobie lekceważył słowo Boże; czyż nie przemawiali za wami ci wszyscy, co jeszcze zachowali poczucie wielkości moralnej; czyż nie poczęli powątpiewać wyznawcy islamu o swej religii, kiedyście się wśród nich zjawiły? czyż nie robili zazdrośni heretycy wszelkich usiłowań, aby was naśladować w pewnej przynajmniej mierze, czego jednak nigdy nie dokazali; czyż niewierni nie uczuli pod waszym wpływem szczęśliwego tchnienia wiary, o której już byli zapomnieli; a wreszcie, czyż miłosierdzie wasze, większy wywierające wpływ, niż nasze kazania i książki nie rozproszyło przesądów, czyż pod jego wpływem nie upadła niewiara wykazując prawdę znakiem daleko widoczniejszym i prawie dotykalniejszym, znakiem zaparcia się i poświęcenia; wam należy się zasługa a bezwątpienia i nagroda; lecz cześć, jaka stąd wynika, cześć ta należy się po Bogu św. Win-

centemu, a ja czuję się szczęśliwym, że to mogę wygłosić u grobu tego wielkiego człowieka.

Mimo tego, moi bracia, gdybym się ograniczył na tem, com dotąd powiedział, nie wyraziłbym jeszcze dosyć ile mieści się mądrości i głębokości myśli w pomysłach św. Wincentego a Paulo. Pomimo swej stałości i mimo dobrego swego układu wewnętrznego, samo przez się nie mogło się ostać to dzieło poświęcenia. Aby zaś zawsze zostało niezachwianem i silnem, potrzebowało pewnej podpory zewnętrznej; potrzeba było, aby zostając takiem, jakiem jest, związało się węzłem nierozerwalnym z poświęceniem, jeśli nie większem, lecz świętszem, już to przez swój początek, już to przez swój charakter. Dobrze to zrozumiał św. Wincenty a Paulo. Aby umocnić, a zarazem uwieńczyć ten budynek miłości, postanowił przywołać do pomocy poświęcenie kapłańskie, które stanowi niejako życie i jest kierownikiem tej budowy.

Tu poznajemy zarówno i bystrość geniuszu i natchnienie ducha wiarą. Oprzeć cały układ dzieła miłości na źródle samem, czyli na kapłaństwie, pogodzić dwa te poświęcenia z sobą, które obejmują świat z pomocą wspólnego sobie dziewictwa, związać je najściślej pod jednem i temsamem kierownictwem i rządem, i wreszcie wytknąwszy im ten sam cel, rozszerzyć je po całym świecie, znaczyło to wystąpić śmiało do walki z piekłem i ze śmiercią. Bez kapłana można wprawdzie utworzyć społeczeństwa, zorganizować pomoc, stawiać gmachy i świadczyć dobrodziejstwa, ale nie można ustalić poświęcenia. Kiedy Jezus Chrystus posłał apostołów swych na świat, powierzył im to co jest źródłem ofiar, co je podtrzymuje i pomnaża, t. j. słowo Boże i życie ze św. Sakramentów. Z tego więc podwójnego źródła wytryskującego z kapłaństwa czer-

pie poświęcenie swą żywotność i tam odnawia swe siły. Ośmnastu wieków historya świadczy, że każde dzieło miłosierdzia, które nie chciało pomocy kapłana, a które poza kapłaństwem Jezusa Chrystusa szukało życia i płodności, upadło marnie, lub zniszczało z braku sił. To też mąż ten, otrzymawszy od Boga nadzwyczajne posłannictwo zorganizowania poświęcenia w wiekach nowożytnych, dał kapłaństwo za podporę swemu dziełu, i mając ten tylko cel na względzie, usilnie się starał o to, aby odtąd widział świat, że począwszy od miast i wiosek europejskich aż do brzegów Oceanii, działają zgodnie pod tymsamym sztandarem kapłan i siostra miłosierdzia, czyli misyonarz poświęcenia i misyonarz wiary.

Oto dzieło św. Wincentego a Paulo, skreśliliśmy je wiernie.

Wiek nasz uzupełnił je dopiero pod jednym względem; ale nowa ta instytucya, która powstała wskutek potrzeb obecnych, odnosi się jeszcze do człowieka, którego posłannictwo dopiero wskazaliśmy; nosi jego imię, kieruje się jego duchem i podniosło jego sztandar. Był to zaiste wspaniały pomysł, powstały wśród obojętności jednych i niewary innych, była to myśl pożyteczna, aby utworzyć okok kapłana i siostry miłosierdzia, zastęp młodzieńców dzielnych i gorliwych w celu pokonania nędzy przez poświęcenie. Kościół udzielił swego błogosławieństwa temu dziełu, Bóg zaś dał mu wzrost; w kilka lat po swem założeniu, rozszerzyło się po całym świecie i liczyło niebawem na tysiące członków. I jeśli badam ten wiek, w którym, jak zwykle złe miesza się z dobrem, i kiedy szukam dzieła, które może mieć wielkie znaczenie u Boga i w historyi, nie zapytuję się zapewne o to książek naszych, nie liczę też na nasze systematy, nie

pójdę z tem ani do naszych szkół, ani do naszych akademii, zapominam nawet na chwilę o rewolucyach, które wstrząsnęły zmiennem naszem społeczeństwem w nowszych czasach; idę szukać trzech lub czterech studentów w ciemnej i nędznej izdebce Paryża a spostrzegłszy, że się budzi w ich duszy pomysł założenia Konferencyi św. Wincentego a Paulo, wtedy dopiero mając myśl zwróconą w przyszłość, mówię z ręką na sercu: Oto jedno z dzieł użytecznych wieku dziewiętnastego.

Św. Wincenty a Paulo! wielki mężu, wielki święty, otośmy się zgromadzili dzisiaj około świętych twych relikwii, my co cię czcimy jako nasz wzór i miłujemy jak ojca. Opowiedziałem a raczej serce moje próbowało opowiedzieć, coś uczynił dla Kościoła i świata. Wspieraj dalej twemi modlitwami dzieło miłosierdzia, które rozpocząłeś na ziemi. Błogosław z wysokości niebios tych kapłanów, którym pozostawiłeś ducha swego; również i te bohaterki miłosierdzia, które po Bogu tobie zawdzięczają to, czem są; wreszcie tych szlachetnych chrześcian, co pod twoim sztandarem idą drogą poświęcenia. Weź w swą opiekę dyecezyą Paryską, dla której niegdyś tyle potu wylałeś, opiekuj się narodem francuskim, który się chlubi, żeś wyszedł z pośród niego. Pobłogosław przedewszystkiem biednych, chorych, nieszczęśliwych, tych wszystkich co cierpią, co jęczą pod ciężarem utrapienia. Byłeś tu ich ojcem, bądź więc nim w niebie; wszystkim nam na zawsze bądź ojcem.

BRAZYLIA.

List ks. Fréchet, kapłana Zgramadzenia Misyi do ks. Fiat, przełożonego generalnego.

Diamantina 1 grudnia 1895.

Najprzewielebniejszy Ojcze!

Racz mi udzielić swego błogosławieństwa!

Oto już drugi rok pracuję na misyach w dyecezyi Diamantina z ks. Azémar, szanownym moim przełożonym, który jako misyonarz pracuje w Brazylii, dwudziesty czwarty rok, a jedenasty w Diamantinie. Biskupem naszym jest Najprzewielebniejszy ks. Jan-Antoni des Santos, który mi udzielił święceń kapłańskich przed ośmiu laty; jest obecnie dziekanem Episkopatu Brazylijskiego; godny uczeń i naśladowca świętej pamięci ks. Antoniego Viçoso, biskupa Mariany; był wychowankiem seminaryum św. Sulpicyusza i Collegium Rzymskiego. Względem Zgromadzeń Misyi jest bardzo dobrze usposobiony. Wiesz, Najprzewielebniejszy Ojcze, że Brazylia bardzo obszerna: dyecezya Diamantina jest również bardzo duża, bo stan Minas jest obszerniejszy od Francyi, a ma tylko dwie dyecezye: Mariana i Diamantina. Żeby mieć pojęcie o rozległości tej wielkiej dyecezyi, wystarcza powiedzieć, ze ks. Azémar, który jest już starcem, w tym roku dopiero, t. j. w jedenastym, przeszedł całą dyecezyę, dając po trzynaście lub czternaście misyi w przeciągu siedmiu lub ośmin miesięcy t. j.

od marca do listopada, w którym się rozpoczyna pora deszczowa. Tłómaczy się to wielką odległością między jedną a drugą parafią, zwłaszcza na północy stanu Minas, który się tu nazywa Sertâo; tu oddziela parafię od parafii 20 lub 50 mil, mila zaś brazylijska wynosi 7 kilometrów.

Tu właśnie do Sertâo skierowaliśmy w tym roku naszą wycieczkę apostolską. Są tu tak ogromne obszary, iż ich okiem nie można ogarnąć, a można podróżować dnie całe, nie natrafiwszy na żadne ludzkie mieszkanie. Z tego więc wynika, jak długą była ta wycieczka; przebiegliśmy prawie całą tę dyecezyę rozległą, z południa ku północy t. zn. że zrobiliśmy tam i napowrót w prostej linii prawie 200 mil drogi, a obliczając zboczenia do różnych misyi, uczyni to blisko 300 mil. Okolice, któreśmy mijali, były równie urozmaicone, jak rozległe, mianowicie: są tam równiny niezmierne, góry urwiste, obszerne dziewicze lasy, w których żyje razem mnóstwo małp, papug, wężów, po większej części jadowitych, żyje tu tapir, (tu *anta* nazwany), dzik, tygrys brazylijski czyli *onça*. Znajdują się tu nadzwyczaj żyzne doliny, w których co rok odbywają się po trzy zbiory. Nad brzegami Jequisinhuha, jednej z największych rzek brazylijskich można napotkać obok najróżniejszych gatunków ryb mnóstwo krokodylów, które się tu nazywają *jakarès* i węża potwornego, którego Brazylijczycy nazywają *sukuriu;* długość jego dochodzi niekiedy do dziesięciu metrów, ten z taką łatwością połyka całego wołu, zadusiwszy go wprzód, jak inny wąż żabę.

Lecz nie posłałeś mnie do Brazylii po to, aby podziwiać piękność natury. Przystępuję więc, mój Ojcze do rzeczy ważniejszych. Wskutek odległości miejsc odprawiliśmy w tym roku tylko 12 misyi, rozdaliśmy

około 14 do 15 tysięcy Komunii św. i pobłogosławiliśmy i naprawiliśmy do 600 związków małżeńskich. Z powodu wielkiego napływu ludności można było tę liczbę podwoić i w tym roku na wielu misyach brało udział od 9 do 10 tysięcy osób, a na jednej blisko 18 tysięcy.

Lecz czego brakuje w północnej części stanu Minas? — Księży. — Podczas naszej wycieczki minęliśmy prawie 10 miejscowości, a na całym tym obszarze jest ledwie 6 czy 7 parafii, a niektóre nawet z nich były bez księży tak, iż czasem wszystko musieli zrobić misyonarze, a więc: kazać, spowiadać, Chrztu św. udzielać i błogosławić małżeństwa. Niestety powołania do stanu kapłańskiego są tu nadzwyczaj rzadkie, a brak kapłanów wzrasta coraz to więcej; od pewnego czasu umiera przeciętnie co rok w wielkiej tej dyecezyi 3 do 4 kapłanów, a święci się tylko dwóch.

Misye nasze trwają w ogóle 12 do 15 dni; każdy z nas ma na przemian codziennie dwa kazania, słuchamy codziennie spowiedzi przez 6 lub 7 godzin: rano niewiast, popołudniu mężczyzn. Pomimo naszych najlepszych chęci, wskutek braku kapłanów wyspowiadamy na każdej misyi zaledwie tysiąc osób, zwłaszcza w tej części dyecezyi. Byłoby pod dostatkiem pracy na miesiąc cały; ale kiedy się przepędzi 15 dni w konfesyonale, rano i wieczór na ambonie, a to prawie zawsze na dworze, daje się uczuć potrzeba małego spoczynku, aby módz rozpocząć gdzieindziej.

Najlepszemi naszemi misyami w tym roku były: pierwsza i przedostatnia, rozdzieliliśmy bowiem na nich około tysiąc Komunii św.; ten pomyślny skutek zawdzięczamy po większej części dwom kapłanom, którzy kierują temi parafiami. Pierwszy jest probosz-

czem pełnym ducha gorliwości; okazał stałość niezachwianą w powołaniu swem począwszy od wstąpienia do seminaryum pomimo woli ojcowskiej, mając już przeszło 30 lat aż do tej chwili, w której jego parafia, przedtem osławiona stała się już parafią wzorową.

Wielka liczba jeźdzców z proboszczem na czele wyszła, stosownie do zwyczaju, na nasze spotkanie; weszliśmy w pośród kwiatów, które w przechodzie na nas rzucano, pod bramami tryumfalnemi, wśród bicia dzwonów i wpośród wystrzałów. Misya trwała 15 dni, a zakończyła się wzniesieniem krzyża, pod którym ks. Azémar wygłosił na zakończenie w dzień wielkanocy wspaniałą mowę wśród łez i westchnień poczciwego tego ludu.

Druga misya odbyła się w parafii, którą zajmuje nasz konfrater X. Antoni Murta. Przyjęcie takie samo, co na poprzedniej; weszliśmy, jadąc cwałem na naszych wierzchowcach; jest to zwyczajne w podobnych spotkaniach, a jeśli się nie potrafi jeździć, zapewniam Cię Ojcze, że trzeba się tego dobrze nauczyć, aby to nie wyszło na własną szkodę.

Przyjęto nas jak gdyby biskupów; nie brakowało niczego, ani bram tryumfalnych, ani kwiatów, ani bicia w dzwony, ani ogni sztucznych. Misya była świetną, tak, jak zapowiadało tak piękne przyjęcie. Bóg znalazł serca gotowe, a łaska Jego wydała owoce zadziwiające. Z misyi przyszli korzystać ludzie biedni, mieszkający wśród lasów w odległości 20 i 30 mil. Wszystkie najznakomitsze osoby w miejscu korzystały z łaski tej, a również takie, które nie przystępowały do sakramentów świętych od 40 lub 50 lat. Żyjący na wiarę sześćdziesięcio lub ośmdziesięcioletni starcy tknięci łaską Bożą, weszli na drogę zbawienną. Na-

liczono wiernych przeszło 10.000. Misya trwała 15 dni, a zakończyła się również wzniesieniem krzyża. Wyjechaliśmy nazajutrz, przechodząc przez tłum tego dóbrego i wzruszonego ludu, który trzymał gałązki w ręku i prosił nas raz jeszcze o błogosławieństwo.

Powszechnie są biedni ci wieśniacy ludem głęboko religijnym, a wiara ich jest niezachwiana. Łatwo się to dało sprawdzić szczególniej w tym roku wpośród ludu zamieszkującego Sertâo, który co do religii jest zupełnie zaniedbanym. W rzeczy samej wyobraź sobie, mój Ojcze parafie rozległe na 40, 50, a nawet 60 mil, i na tym całym obszarze jeden kapłan i to jeszcze... kiedy on tam jest. Cóż może uczynić ten biedny ksiądz, pozostawiony samemu sobie wobec tak wielkiej przestrzeni? Nie wystarczy on nawet na to, aby chrztu św. udzielać, a tem bardziej, aby słuchać spowiedzi! To też często można spotkać, jak się nam to zdarzyło, młodzieńców i panienki niechrzczone. A co daleko smutniejsza, to to, że te parafie mają niekiedy kapłanów niegodnych ich powołania. Można widzieć małżeństwa błogosławione na ślepo, bez dyspenzy, bez spowiedzi; to też w tym roku z 600 zawartych związków małżeńskich, trzeba było przeszło 300 naprawić. Tu właśnie trzeba podziwiać dobroć Boskiej Opatrzności, bo pomimo tego biedni ci ludzie szanują tych księży niegodnych charakteru kapłańskiego i nie przestają się do nich uciekać. Co zaś najwięcej zadziwia, to ich prostota, niewinność w obyczajach, która panuje wśród familii tego ludu tak opuszczonego. Patrząc na to, koniecznie trzeba zawołać: *Digitus Dei est hic.*

Również wzruszający to widok patrzeć na ochoczość, z jaką się garnie ten ludek poczciwy do misyi i na uszanowanie, z jakiem słucha słowa Bożego. Kiedy

nadejdzie czas spowiedzi, powstają pomiędzy nimi formalnie sprzeczki i dysputy; stoją wtedy w ścisku największym, czekają całe godziny, a często upadają nawet ze znużenia. Przychodzą pieszo z odległości dziesięciu, pietnastu, dwudziestu mil i biorą do końca udział w misyi. Bóg sam wie, ile ich to kosztuje. A kiedy nadejdzie chwila rozstania się i kiedy przełożony ma mowę pożegnalną, powstaje płacz, ubolewanie, zdolne wzruszyć serca, choćby i najmniej tkliwe; dobry ten lud rzuca się misyonarzowi do nóg i z łkaniem całuje ręce i odzież jego, ciesząc się nadzieją bliskiego jego powrotu.

Na jednej takiej misyi, w której uczestniczyło nie mniej niż 9000—10 000 osób, spotkaliśmy dwóch inżynierów francuskich, którym rząd brazylijski polecił utorować drogę przez lasy. Nie mogli wyrazić swego zdziwienia, widząc te tłumy tak uległe pod wpływem słowa Bożego. Nie mogli pojąć, widząc, jak jedno słowo, ba, na jeden znak misyonarza, rzucały się te masy z niewysłowionym zapałem, czy to, aby zrobić krzyż misyjny, czy to, aby urządzić cmentarz, lub wreszcie, aby nazbierać kamieni ogromnych na budowanie kaplicy i t. d. Prawdziwie, mówili, potężne jest słowo Boże. Nie bylibyśmy nigdy marzyli i podobnych rzeczach. Gdybyśmy pisali o tem do Francyi, uważanoby to za mrzonki; a tymczasem widzieliśmy to na własne oczy".

Taki jest lud. Co się zaś tyczy wielkich i bogaczów, obchodzą się z kapłanem dobrze, z poważaniem i bardzo grzecznie, lecz po większej części na tem poprzestają. Kiedy nawet rozchodzi się o prace materyalne misyi, o przywóz kamieni i t. p., nie wzdrygają się poddać delikatne bardzo barki pod ten ciężar; lecz nadzwyczaj rzadko można ich widzieć przystępu-

jących do Sakramentów świętych. Wszędzie znajdują się chwalebne wyjątki; Bóg ma we wszystkich stanach swoich wybrańców, lecz w ogóle ludzie tego rodzaju są na misyi, lecz nie spowiadają się. Tak się stwierdza ta prawda, że Zgromadzenie św. Wincentego jest od Boga przeznaczonem na to, aby opowiadać Ewangelię biednym, również sprawdza się i ten tekst z Pisma świętego: „*Quam difficile est divitem intrare in regnum coelorum!*“

Na jednę jeszcze okoliczność zwracam uwagę; zdarza się bowiem w krajach, gdzie jest jeszcze żywa i prosta wiara, że Bóg nieraz stwierdza słowo pokornych swych sług zdarzeniami nadzwyczajnemi, w których każdy wierny i nieuprzedzony musi uznać palec Boży.

Nie minął jeszcze rok od czasu, w którym mogę wskazać kilka wypadków podobnego rodzaju w szczególności zaś kary przykładne na grzeszników zatwardziałych. Zeszłego roku na jednej misyi zresztą świetnej, biedna pewna osoba, słysząc o misyi, zaczęła mówić w ten sposób: „Co ja mam iść na misyę, nie ruszę się, niech tam idzie, kto chce! co do mnie, pójdę w ostatnim dniu, aby wziąść udział w pożegnaniu się z misyonarzami!“ Dobry Bóg przyjął jej słowo; była tam w istocie, lecz złożona w trumnie, umarła nieszczęśliwa bez spowiedzi, zanim proboszcz przybył i niesiono właśnie jej trupa przez ulicę w chwili, kiedy nasze wierzchowce stały już gotowe do odjazdu. Podobny wypadek zdarzył się w tym roku na misyi, która się odbyła w mieście, nie wyznającem prawie żadnej religii. Ks. Azemar użył wszelkich możliwych sposobów, aby nakłonić do uczestniczenia w misyi znakomitego pana, człowieka skądinąd w mniemaniu świata dobrego, niechcącego się jednak spowiadać, ostrzegał

go, zwracając na to uwagę, że może umrzeć nagle i bez spowiedzi. Tak się też stało; w sześć miesięcy potem dowiedzieliśmy się, że umarł bez spowiedzi i że pomimo wszelkich starań nie zdążył nawet proboszcz na jego pogrzeb. W innem miejscu gdzie się misya poniekąd dobrze udała, znalazło się kilku znaczniejszych ludzi, lecz żyjących z sobą na wiarę; jestto to jedno z nieszczęść największych tego kraju; wszyscy z wyjątkiem jednego przynajmniej na czas misyi rozstali się ze swemi nałożnicami. W kilka dni potem podczas następnej misyi, doniesiono nam, że ów nieszczęśliwy, w złem zatwardziały podczas kłótni dostał trzy razy kulą w plecy i że prawie cudem uniknął śmierci. Skorzystał przynajmniej z tej nauki; porzucił bowiem to życie grzeszne i ożenił się. Możnaby mnóstwo naliczyć podobnych zdarzeń, lecz to wystarcza, aby wskazać, że używa Bóg od czasu do czasu podobnych wypadków dla zachęcenia dobrych, a zastraszenia złych. List ten jest już zbyt długi. Możesz mój ojcze, powziąść stąd wyobrażenie o pracach misyonarzy w Diamantina; wynika stąd, że gdyby życie misyonarskie miało tak, jak tu, tyle trudów i prac do znoszenia, miałoby także takie pociechy i wydałoby takie owoce. Co do mnie, nie wiem, jak podziękować Bogu za ten zaszczyt niezmierny, którego mi udzielił, powołując mnie pomimo mej niegodności na tak szczytny urząd. Oby tylko zawsze błogosławił i pomnażał liczbę powołań do życia apostolskiego, na coraz to większą swoją chwałę i na dusz zbawienie

Polecam się wreszcie gorącym twym modlitwom i proszę cię, pobłogosław, dobry Ojcze misyonarzy i misye w dyecezyi Diamantina.

Pozostaję, Najprzewielebniejszy Ojcze, w sercach

Najświętszych Jezusa i Maryi najuleglejszym i najposłuszniejszym synem twoim.

Benjamin Fréchet.
n. k. Zgr. Misyi.

List ks. W. Vollet, kapłana Zgrom. Misyi do przełożonego generalnego ks. A. Fiat.

Kurytyba (Parana) Seminaryum biskupie, 22 maja 1896.

Najprzewielebniejszy Ojcze!

Racz udzielić swego błogosławieństwa!

Cóż ci mam napisać o naszej miłej Kurytybie? Dzieło ledwie rozpoczęte, lecz spodziewamy się, że dobry Bóg doprowadzi je do rozwoju szybkiego i trwałego. Mamy tu sprawę z krajem nieznanym i z ludem nam obcym. Ziemia żyzna trzeba ją jednak najpierw uprawić i ziarno posiać, resztę zaś zrobi Pan Bóg: *Deus est, qui incrementum dat.* To wszystko jest zupełnie prawdziwe: Kurytyka jest wcale mało przesiąkłą naukami fałszywemi, na szczęśce nie posiada jeszcze żadnej loży masońskiej, pod względem jeddak religijnym zupełna tu ciemnota. U wielu, a nawet z pomiędzy ludzi najlepiej myślących, religia ogranicza się na zewnętrznych oznakach, przedewszystkiem zaś na uroczystościach. To się tłómaczy tem, że lud ten był zaniedbany od dawna, pod względem życia duchowego. Na całym obszarze dyecezyi Kurytyba znajduje się zaledwie 50 kapłanów, chociaż obejmuje ona dwa stany: Parana i Santa Catarina, czyli jest większa, niż połowa Francyi; ale jacy są ci kapłani, najczęściej tacy, jakim się przedstawia duchowieństwo amerykańskie, święcone i wychowane nie według ustaw, które wydał Sobór Trydencki. Nic więc dziwnego, że lud,

zachowując swą wiarę, powoli zaprzestał praktyk religijnych. Miejmy nadzieję, że Włosi, Niemcy, Polacy, których jest nadzwyczaj dużo w Paranie, a którzy daleko lepiej pojmują swą religię, przyczynią się do polepszenia tego stanu.

Seminaryum zaczyna się pomyślnie. Mamy blisko 30 uczniów, którzy nie mają, lub raczej nie mieli najmniejszego pojęcia o karności seminaryjnej. Trzeba ich było wyuczyć pierwszych zasad wszelkich rzeczy, zwłaszcza zaś religii. Niewiemy, ilu z pomiędzy tych 25 zostanie kapłanami; obecnie mamy raczej kierownictwo nad kollegium, niżli nad seminaryum, zastosowaliśmy jednak reguły seminaryjne. Kiedy później będziemy mieć dzieci wiejskie, a na nie możemy więcej liczyć, możemy mieć nadzieję, że powołania będą częstsze, a wtedy dopiero będziemy mieli prawdziwe seminaryum. Tymczasem musimy być zadowoleni z tego, co mamy; boimy się, żeby nie otworzyć seminaryum bez zasobów pieniężnych i bez uczniów. Nie było to fałszem przyprowadzić rzeczy do dobrego stanu. Z drugiej strony łatwo zrozumieć można że, jeśli każdy pracuje, trudności nie są tak ciężkie. Wierz mi, mój Ojcze, i zaco niech będą dzięki Bogu, że ks. Fréchet. mój przełożony, ks. Deschaud i ja sługa twój mamy jednę tylko wolę. Kurytyba, pomimo małych trudów, któreśmy tu napotkali, a które się wszędzie napotyka na ziemi, pomimo zabiegów przy fundacyi, pomimo niezliczonych zajęć, które nam zabierają dużo czasu, Kurytyba jest prawdziwie rajem.

Nie ma tu, mówię, żółtej febry, ani innych chorób, które dziesiątkują naszych kochanych współbraci w Ris, nie ma tu wielkich upałów, ale w zimie jest nieco zimno, bo woda zamarza. Kurytyba jest z pewnością najzdrowszym krajem Brazylijskim. Pozostaję

twoim, Najprzewielebniejszy Ojcze, w miłości naszego Pana i Matki Jego Niepokalanej najniegodniejszym i do wielkiej wdzięczności tobie zobowiązanym synem.

W. Vollet.
n. k. Zgrom. Mis.

OCEANIA.

Wyspy Filipińskie.

List księdza Jana Miralda, kapłana Zgromadzenia Misyi, do przełożonego generalnego ks. Fiat.

Nueva Caceres, 15 stycznia 1897.

Najprzewielebniejszy Ojcze!

Racz mi udzielić swego błogosławieństwa!

Wypadki obecne tutaj takiej są doniosłości, że byłoby z mojej strony wielkiem niedbalstwem, gdybym Ci o nich nie doniósł. Wiesz już, czcigodny Ojcze, o powstaniu Indyan na archipelagu Filipińskim, które miało za sobą pociągnąć upadek Hiszpanów. Zamiarem powstańców było wymordować ich wszystkich bez względu na wiek, płeć i stan i tak też rzeczywiście postąpili z tymi wszystkimi, których w ręce dostali. Mówią, żeśmy wyłączeni w wyroku rzezi, również i siostry miłosierdzia i oo. Jezuici; lecz rewolucyoniści okazali się tak okrutnymi i rozwścieczonymi względem Hiszpanów, a zwłaszcza zakonników, którzy w ręce ich wpadli, iż nie można bynajmniej zaufać ich łaskawości.

Sprzysiężenie było powszechne, a tak doskonale uknute, iż Indyanie sądzili, że bezpiecznie osiągną zamierzony cel nawet wtedy, kiedy Opatrzność odkryła

spisek. Chwycili za broń w prowincyach Manille, Cavite, Bulacan, Batangas, Bataan i w Nueva-Ecya; naśladując fanatyzm Muzułmanów, złączyli się przysięgą, a na tysiące liczą tych, którzy podpisali umowę własną krwią, zacinając sobie w tym celu ramię; napotkano wszędzie na podobne rzeczy: w biórach, domach handlowych, w fabrykach, w klasztorach i domach prywatnych, gdzie się słudzy zobowiązali pozabijać swych panów.

W początkach tych niepokojów była Manilla wskutek braku wojska bardzo zagrożona. Było tam tylko 200 artylerzystów hiszpańskich i garstka żołnierzy, krajowców, których wierności nie można było zaufać; i rzeczywiście, wielu z nich złączyło się z nieprzyjaciółmi. Z tą garstką żołnierzy i posiłkami hiszpańskimi, które się znajdują w Manilli, można przynajmniej uniknąć ataku na stolicę. Zażądano wojska z Mindanao i z Hiszpanii, lecz to nadeszło za późno. Tymczasem ufortyfikowali się rewolucyoniści w prowincyi Cavite, która jest w ich ręku, i tak doskonale się tam okopali w przeciągu dwóch miesięcy, iż pierwszy atak zupełnie się naszym nie powiódł. W innych prowincyach poskromiono ich już, a z pomocą Bożą buntowników prowincyi Cavite pobiją niezadługo; lecz można było z początku stłumić to w krótkim czasie, gdyby się byli wzięli do tego surowo i energicznie; teraz zaś będzie to kosztowało dużo krwi.

Prowincya Camarinas, w której my jesteśmy, jeszcze nie podniosła buntu, grozi tu jednak wielkie niebezpieczeństwo. W samem mieście zamknięto w więzieniu dwudziestu znakomitszych obywateli, a między nimi trzech kapłanów: proboszcza katedralnego i jego dwóch wikarych, a oprócz tego jednego księdza z prowincyi Albay. Nie wiem, jakąby księża ci mieli mieć

łączność z powstańcami. Oskarżono ich, że brali udział w zebraniach tajnych, i że przyjęli broń; lecz według ich oświadczeń nie można było niczego udowodnić. Znaleziono tylko dubeltówkę, którą ukrył jeden wikary w organie, nadto dwa rewolwery i kilka pudełek z nabojami. Musiała jednak ciężyć na nich jaka wielka wina, ponieważ rozstrzelano ich dnia 4-go tego miesiąca wraz z dziesięciu innymi w Manilii, uwolniono zaś od śmierci najmłodszego wikarego. Ten wyrok wywarł tu głębokie wrażenie, zwłaszcza śmierć proboszcza katedralnego, którego nikt nie podejrzywał. Był to człowiek obyczajów wzorowych, dokładnie spełniał swoje obowiązki, pozornie sprzyjał Hiszpanom i był powszechnie lubiany. Nie pojmuję więc, jaki on mógł mieć udział w powstaniu. Kiedy oni byli w więzieniu i kiedy ich odprowadzono do Manilli, wielka bojaźń i trwoga straszna opanowała nasze miasto; obawiano się powstania ludu i dlatego utworzono straż cywilną; wszyscy Hiszpanie byli pod bronią, a patrole ciągle przebiegały po ulicach. Ja zaś byłem gotowy na wszelki wypadek; lecz, dzięki Bogu, nie zdarzyło się żadne nieszczęście i dotąd jest zupełnie spokojnie.

W prowincyi Flicos wmięszało się w te bunty trzech kapłanów, a z nimi siedmiu czy ośmiu seminarzystów ze seminaryum w Vigan, które jest pod kierownictwem oo. Augustyanów; w Manilii zaaresztowano kapłana, który założył lożę masońską, lecz udało mu się umknąć. *(Dok. nast.).*

KRONIKA.

Europa. Irlandya. Dnia 19 grudnia 1896 r. umarł Mgr. Lynch, biskup dyecezyi Kildare i Leighlin. Zapisujemy tu choć krótką wiadomość o jego życiu nietylko ze względu na cnoty jego wzniosłe, ale nadto z tego powodu, że on właściwie jest założycielem prowincyi irlandzkiej.

Urodził się 1807 r. w Dublinie. W pierwszej zazaz młodości odumarli go rodzice a wychowaniem jego i rodzeństwa zajęli się wujostwo. Nauki pobierał w kollegium Jezuitów w Clongows-Wood. Tam odznaczył się pilnością w nauce, ale i niemniej cnotą. Po ukończeniu nauk w kollegium udał się do Dublina na uniwersytet na wydział medyczny. Była to prawdziwa chwila próby w jego życiu. Wir wielkiego miasta, otoczenie, niejedną pochłonęło ofiarę; on ocalał a nawet na innych zbawienny wywierał wpływ. Zaprzyjaźnił się z niejakim Mac Cann również wychowankiem Jezuitów.

Nastąpił r. 1826, rok jubileuszowy. Postanowił z całą gorliwością, wyzyskać skarby łask Bożych. Odprawił spowiedź generalną i przyszedł do przekonania, iż nie jest wolą Bożą, aby był lekarzem i idąc dalej za natchnieniem łaski, pomimo przeciwnych rozumowań (był bowiem najstarszym w rodzinie, wypadało więc jemu zająć się młodszem rodzeństwem), wstąpił do seminaryum duchownego w Maynooth.

Nagrodził też mu Bóg tę powolność łasce, gdyż

dwaj jego bracia również postanowili za nim pójść do seminaryum w Maynooth, a obydwie siostry wstąpiły do Wizytek w Galway. Ów jego przyjaciel Mac Cann odczuł głęboko usunięcie się Lyncha i w krótkim czasie poszedł w jego ślady. W seminarym odznaczał się nauką i gruntowną cnotą. Kiedy kończył studya trapiła go tylko jedna myśl, „jak potrafi zabezpieczyć swe przyszłe życie kapłańskie". Przestraszały go niebezpieczeństwa tych prac, a z drugiej strony dusza jego rwała się do nich. Zwierzył się ze swymi obawami niektórym z kolegów i poznał, że jednej byli myśli. Oto ich nazwiska: Piotr Ryszard Kenrick, Reynolds, Burke i Lee.

Zwierzyli się jednemu ze swych przełożonych X. kanonikowi Dowley, późniejszemu pierwszemu wizytatorowi prowincyi irlandzkiej. Ten polecił im zwrócić się do Meagher, kapłana dyecezyi dublińskiej, który starał się zaprowadzić Zgromadzenie w Irlandyi. List młodych alumnów trafił na chwilę, kiedy X. Meagher zupełnie był zniechęcony trudnościami jakich doznał w swym zamiarze, dlatego nie chciał im w niczem dopomódz, zachęcił ich jednak. „Bóg was wybrał, pisał do nich, na moje miejsce; wytrwajcie i bądźcie gotowi na przeciwności".

W tem położeniu zwrócili się do X. Dowley prosząc go o dalsze kierownictwo. Ten po krótkiem zastanowieniu zgodził się, i tę chwilę można uważać za początek zaprowadzenia Zgromadzenia w Irlandyi. Lee nie wytrwał ale Bóg dał im w jego miejsce Tomasza Mac-Namara, późniejszego drugiego wizytatora. Sześciu tych młodych lewitów, prawdziwie: *pusillus grex*, bez doświadczenia, bez pieniędzy, protekcyi, zamierza zaprowadzić Zgromadzenie! Czyż nie dzieło to Boże?

Pierwszą potrzebą, był dom, gdzieby mogli wspólnie zamieszkać. Lecz za co go kupić? Kiedy oni jak prawdziwi słudzy ewangieliczni nie mieli, „*neque aurum, neque argentum, neque pecuniam in zonis, non peram in via, neque duas tunicas, neque calceamenta, neque virgam*". Opatrzność przyszła im z pomocą. Przypomnijmy sobie owego przyjaciela Jakóba Lyncha, Mac Cann'a, który również wstąpił do seminaryum w Maynooth. Pojechał on później do Rzymu gdzie w Propagandzie kończył studya. Poinformowany przez swego przyjaciela o jego zamiarze, przyjeżdża, łączy się z nimi, a ponieważ był bogaty, kupuje im dom w Dublinie. Było to 1833 r. 15 sierpnia, więc w dzień Wniebowzięcia N. P. Ponieważ X. Dowley musiał jeszcze pewien czas pozostać w Maynooth, trzeba było obrać superyora. Obrano X. Kenrick. Teraz rozpoczynają się przeciwności na jakie każde dzieło Boże natrafić musi. X. Keurick, dopieroco obrany superyor składa listownie swą godność i wyjeżdża do swego wuja Biskupa w Filadelfii w Ameryce. Takie widocznie z nim były zamiary Boga, gdyż tam został biskupem i niedawno umarł pełen zasług jako arcybiskup w St. Louis.

Można sobie wyobrazić jakie przygnębienie sprawiła ta wiadomość na to małe Zgromadzenie. Tymczasem przyjechał X. Dowley i objął kierownictwo Domu. Wstąpiła w nich otucha. X. Meagher postarał się, że im oddano jego kościół św. Piotra, niedługo potem kupiono kollegium na Castelknock, znowu za pieniądze Mac Cann'a, i rozpoczęto pertraktacye z Przełożonym generalnym w Paryżu, których rezultatem było przyjęcie ich do Zgromadzenia. Rok więc 1839 jest rokiem powstania prowincyi irlandzkiej.

Tak więc spełniło się dzieło, którego inicyatywę

powziął ś. p. Lynch i był w przeprowadzeniu jego ożywiającym duchem.

Byłoby zbyt długo wyliczać teraz jego prace i zasługi położone dla Zgromadzenia, więc wyliczmy przynajmniej ważniejsze.

Najprzód został posłany do Castelknock jako asystent X. Dowley i został zarazem dyrektorem kollegium. Mgr. Murray, Arcyb. Dublina, słysząc same pochwały tego kollegium zaprowadził przy niem małe seminaryum dyecezalne. Gorliwości X. Lyncha nie zamknęły bynajmniej mury kollegium. Co niedziela miewał on kazania, najczęściej w sąsiednim kościele św. Piotra.

Podczas wakacyj jeździł najchętniej na misye; miewał często rekolekcye dla księży, do czego miał szczególną łaskę. Po 23 latach takiej pracy został powołany do Paryża na superyora seminaryum irlandzkiego niedawno założonego rozporządzęniem ministerstwa oświaty, a propaganda zadecydowała zarząd powierzyć misyonarzom irlandzkim. Nominacya była więc wynikiem porozumienia między X. Generałem a Biskupami irlandzkimi. Inny też i tu zaraz zawiał duch. Rok rocznie wychodzić stąd zaczęli kapłani pełni ducha Bożego. — Pracował tu do r. 1866, w tym bowiem roku dostał rozkaz Ojca św., aby przyjął święcenia biskupie i nominacyę na biskupa-koadjutora w Szkocyi. Chciał udać się do Rzymu i błagać Ojca św. o cofnięcie decyzyi, ale ponieważ rozkaz był stanowczy, dlatego za radą X. Generała poddał się woli Bożej. W seminaryum irlandzkiem, wśród grona swych wychowanków, otrzymał sakrę biskupią. Znając już gorliwość X. Lynch'a cieszyć się było można, że nowy teren pracy i to tak obszernej przed się nim otworzył! Ale niestety był to mimowolny odpoczynek. Dosyć

powiedzieć, że przyjęto go z uprzedzeniem i obywano się bez jego pomocy. Po czterech wreszcie latach został zamianowany koadjutorem Mgr. Walsh, biskupa dyecezyj Kildare i Leighlin razem złączonych — a po śmierci Mgr. Walsh 1888 r. sam objął rządy dyecezyi.

Nagrodził mu Bóg dawną gorycz nieczynności. Dosyć znowu powiedzieć, że trudno opisać smutek po jego śmierci i udział wszystkich w jego pogrzebie. Pracował dla wszystkich więc wszyscy mówili, że stracili: ojca i świętego.

Świętą była jego dusza. Cnotą zawsze się odznaczał czy w kollegium czy seminaryum czy w Zgromadzeniu, na stanowisku rektora i na tronie biskupim, wszyscy w nim widzieli uosobienie: umartwienia, skromności, pokory, słodyczy, roztropności.

Odznaczał się przedewszystkiem: żywą wiarą, duchem modlitwy, szczególnem nabożeństwem do N. Sakramentu. W rozmowie więc umiał zawsze wspomnieć o Bogu bo go sam wszędzie oglądał; nie zadawalniał się więc bynajmniej ćwiczeniami Zgromadzenia, ale „zawsze się modlił“. Wśród podróży zpowodowanych wizytami pasterskiemi widzimy go z książką duchowną lub różańcem w ręku. Jak prawdziwy syn św. Wincentego do końca tak podeszłego życia odprawiał msze św., a skoro już nie mógł, musiano go zanosić do kaplicy i przyjmował Komunię św. — Umarł 19 grudnia 1896 r. w dziewięćdziesiątym roku życia. W pogrzebie wzięło udział duchowieństwo nietylko dyecezyi ale i z sąsiednich. Przybyło kiku biskupów.

21 lutego r. 1897 w Carlow odprawiono uroczyste jeszcze za jego duszę nabożeństwo przy bardzo licznym udziale duchowieństwa. Było pięciu biskupów; X. Murphy, wikaryusz generalny, proboszcz w Kil-

dare wygłosił wzniosłą mowę pogrzebową naszego drogiego konfratra.

Portugalia. Lizbona. X. Boullard donosi Najprzew. X. Generałowi nieco szczegółów o życiu i śmierci X. Miel wizytatora prowincyi portugalskiej.

Ś. p. X. Miel urodził się 1822 r.; do Zgromadzenia wstąpił 1845. Bawił jakiś czas w Châllons przy W. Seminaryum, skąd został powołany do Portugalii, gdzie gdy w roku 1873 utworzono osobnę prowincyę został wizytatorem. Tu więc przeważną część lat swej kapłańskiej pracy przebył. Umarł 5 grudnia z. r. około godziny czwartej rano. Wspaniały miał pogrzeb. Mszę św. celebrował Mgr. Pico, audytor nuncyatury zastępujący wówczas nuncyusza. Był obecny p. Allizé, pierwszy sekretarz ambasady francuskiej zastępujący ambasadora hr. d'Orunsson, reprezentant J. Em. X. kardynała Patryarchy lizbońskiego, kolonia francuska, wiele wybitnych osób, liczne duchowieństwo świeckie i zakonne. Nad grobem przemówił p. Allizé.

Azya. Chiny. Terrytoryum misyjne powierzone Zgromadzeniu wynosi, według sprawozdania X. Meugniot prokuratora misyj i wizytatora, 384.000 kilometrów kwadratowych z 73,000.000 dusz. Postęp acz powolny, widoczny jednak z każdym rokiem. 400.000 chorych po różnych szpitalach jest pod opieką Sióstr Miłosierdzia; ochrzcono przeszłego roku 56.836 osób.

Schangai. Mgr. Coqset, wik. ap., przesłał X. Milon, sekretarzowi generalnemu, autentyczny list Czcig. Cleta pisany do X. Villa. Oto jego tekst:

7 lipca 1795.

Mości Księże i kochany Konfratrze!

Łaska Pana naszego niech będzie z nami zawsze!

Wysyłam do was posłańca z prawdziwie smutną wiadomością. X. Aubin w drodze do X. wikaryusza

apostolskiego został zchwytany na komorze cłowej. Drogę tę odbywał pieszo bez pakunków razem z dwoma ludźmi, którzy również zostali przytrzymani i odesłani do stolicy. Są już 23 dni w podróży. Możecie sobie wyobrazić jakie wrażenie na nas zrobił ten wypadek. Cóż mamy robić, jak czcić Boską Opatrzność tak w nieszczęściu jak w powodzeniach! Sądzę, że mam obowiązek was uprzedzić. Wysyłam posłańca do X. Letondal prosząc o różne sprawunki na rachunek jednak wasz. Spodziewam się, że mi pożyczycie chętnie. Ja mu dałem 30 taëls, wy mu dajcie ile będzie potrzebował do powrotu i z 20 taëls wynagrodzenia z czego trzeba mu odjąć 5 taëls, których mu pożyczyłem. Ly Mao-lo przesłał nam pieniądze na utrzymanie; w tym okresie byliśmy od kilku miesięcy w krytycznem położeniu, tak, że musieliśmy nawet zaciągnąć pożyczkę. Czas nie pozwala na uczynienie tu kilku uwag w tym względzie, co odkładam do przyjścia br. Pawła. Teraz jest jedenasta godzina w wieczór; jutro rano udaję się do pewnej osady chrześciańskiej, a teraz więc trzeba się trochę przespać.

X. Pesné prosi mię, abym załączył od niego szczere pozdrowienie, co razem z mojem zapewnieniem wielkiego szacunku, przyjaźni przyjmij Mości Księże i kochany Konfratrze

Twój pokorny i posłuszny sługa

Clet

n. k. Z. M.

P. S. Pozdrawiam X. Correa i wszystkich konfratrów.

List ten pisany jest z Hon-Kuang choć tego na nim nie ma napisane a to z tej przyczyny, że dawni misyonarze zwykli dla ostrożności nie podawać na listach miejscowości. X. Clet pisał ten list do

X. Villa prokuratorą w Macao. Miastem, dokąd był X. Aubin zaprowadzony i prawdopodobnie otruty, jest Sy-ngan-fou główne miasto prowincyi Chen-sy. Księża: Correa i Villa byli pierwszymi konfratrami narodowości portugalskiej w Chinach. Przybyli do Macao 28 lipca 1784 r. X. Letondal, o którym jest mowa w tym liście, był prokuratorem Stowarzyszenia misyj zagranicznych w Macao; bardzo zaprzyjaźniony z naszymi konfratrami.

Pekin. W r. 1870 wiele osób, w czem siedmiu poddanych francuskich, padło ofiarą strasznego okrucieństwa chińczyków w Tien-tsin 21 czerwca 1870 r. mianowicie: konsul francuski z swym sekretarzem, dwóch misyonarzy i dziesięć Sióstr Miłosierdzia.

Ówczesne położenie Francyi nie pozwalało na odpowiedne zajęcie się tą sprawą. Zadowolono się wysłaniem osobnego posła do Rzeczypospolitej i odszkodowaniem pieniężnem. Ruiny zburzonego kościoła i skromne groby poległych zdawały się wciąż upominać o moralne zadosyć uczynienie. Wszyscy ambasadorowie i biskupi starali się o to, a zawsze bezskutecznie. Dopiero 1896 udało się J. Exc. p. Gérard znanemu z zasług względem Rzeczypospolitej, dla misyj i dla samych Chin, użyć swego wpływu w tym właśnie względzie.

Na jednem zebraniu książąt i ministrów przedstawił, że jeszcze jeden cień powinien być usunięty, a zapanują przyjacielskie stosunki między Francyą a Chinami. Skutek tej przemowy był ten, że postanowiono:

1) kościół ma być zupełnie odnowiony, tak jak wyglądał do r. 1870;

2) 13 trumien umieścić w kościele; nad każdym grobowcem ma być posąg marmurowy;

3) na pagórku, około którego były zabite ofiary mordu, ma się wznosić wielki posąg marmurowy z napisem: *Tje-kien* (na rozkaz cesarski) i dekret cesarza *T'oung-tche* z dnia 30 czerwca 1870 r., w którym Jego Cesarska mość ubolewa nad tymi okropnymi wypadkami i rozkazuje winnych ukarać.

Wydano rozkazy do Tient-tsin, trzeba więc było wziąć się energicznie do dzieła.

X. Favier znalazł w pobliżu Pekinu wielki słup marmurowy z fundamentem. Miał on służyć za pomnik grobowca pewnej książęcej rodziny, co jednak do skutku nie doszło. Cena kupna niczem była w porównaniu do kosztów transportu. Ważył 15.000 kilogr. potrzeba było więc użyć dwóch specyalnych *ad hoc* wozów ciągnionych przez 60 mułów; sześć dni trwała ta podróż tylko ku rzece. O dziesięć mil od Pekinu woźnica spadł i złamał sobie nogę, ale dał Bóg dobrych ludzi, którzy się nim zajęli. Zostawiwszy u nich chorego, doszli wreszcie do rzeki. Było to koło godz. drugiej jak zaczęli tę znowu podróż w barce a o $5^1/_2$ otoczyli ich korsarze. Nic tu nie pomogło zastawienie się godnością „europejczyka", w kilkunastu minutach pieniądze, zapasy, wszystko stało się ich zdobyczą. X. Favier opuszczony przez swych ludzi, którzy uciekli stał, czekając wyroku na siebie. Modlił się przez ten czas do bł. Perboyre'a, gdyż spieszył do Tient-tsin na Jego święto na 7 listopada. Wreszcie dowódzca zwraca się ku niemu ze słowami: „Mój panie, wszystko już skończone, możecie odjechać; my nic o tem co zaszło nie będziemy wspominać, ale wy też o tem nic nie mówcie". Ale jak odjechać, kiedy ludzi nie ma? Wtem wydobywa się ze spodu barki jego służący z trzema ludźmi, gdzie dobrze byli ukryci, więc dalszą odbywają podróż w dobrze uszkodzonej

barce. X. Favier przybywszy do Tien-tsin, zaraz po Mszy św. udał się do konsula francuskiego hr. Chaylard opowiedzieć mu swe zdarzenie. Konsul napisał do ambasadora w Pekinie, gdzie rząd chiński wydał osobny edykt polecający ukarać winnych!

Tymczasem rozpoczęto roboty. Na miejsce ruin kościoła zjechała komisya składająca się z konsula francuskiego, prezydenta miasta. Rząd wyznaczył osobnego mandaryna II klasy dla strzeżenia bezpieczeństwa osób na czas roboty; wydano proklamacyą do ludu. Nazajutrz 50 robotników stanęło do pracy. Otworzono groby poległych ofiar wobec przedstawicieli rządu i złożono je w krypcie kościoła. Roboty około grobowców postępują szybko i wkrótce będą ukończone, ale koszta wielkie, a wszystko idzie na rachunek misyi, gdyż rząd odszkodowanie już 1870 r. zapłacił.

Nan-kang. X. Canduglia donosi Najprzew X. Generałowi, że jak dawno jest w Chinach słyszał same tylko słowa: podpalić, rabować, prześladować! Teraz zwrot do niepoznania. Właśnie udało się X. Wikaryuszowi Ap. nabyć posiadłość w Nan-ngan-fou. Jestto wprawdzie tylko obszerne pole z kilku walącymi się chatami, ale zawsze dzieło Boże już rozpoczęte!

Misyonarze tam mają lekarza, który chrzci zarazem przy sposobności chore dzieci; kilku starszych ludzi przychodzi na katechizm; małe dzieci uczą misyonarze modlitwy. W okolicy są również misyonarze protestantcy, jak zawsze z zasobem środków materyalnych. Miasto Nan-ngan-fou ma pierwszorzędne znaczenie, gdyż otwiera drogę do wnętrza państwa; tem więcej teraz, kiedy tedy projektowana jest kolej żelazna. Będzie to więc stacya ambasadorów, konsulów, misyonarzy udających się do Chin.

Ning-po. Siostry Miłosierdzia mają tu szpital i katechumenat. S. Bugaud donosi X. Reynaud, Wikaryuszowi Ap., o kilku zdarzeniach. I tak:

Pewna młoda kobieta wdowa od 10 lat, często miała natchnienie porzucić błędy niewiary, jak to uczyniły jej matka i siostra, ale zawsze odkładała do — „jutra". Opatrzność jednak czuwała nad nią. Przyszła choroba, tak, że ją musiano oddać do szpitala; tu nawraca się się i w dzień Zielonych Świątek stała się dzieckiem Bożem. W żaden sposób już wrócić do świata nie chciała; dano jej więc zajęcie przy dzieciach i to dosyć trudne, które z całem spełnia poświęceniem.

Inna stara kobiecina, trudna do pouczenia w rzeczach wiary, nie miała bowiem pamięci, budowała wszystkich swą wiarą. „Widzi Siostra, powiada, ja już stara, mnie trudno czego pouczyć, bo zaraz zapominam o tych pięknych rzeczach, których mnie nauczacie, ale ja wierzę, ja wierzę w to, w co Siostra wierzy i chcę z wami być w niebie". Ochrzcona po tem wyznaniu wiary, umarła. Takich wypadków mamy dużo wśród roku.

Szkoła również pomyślne wydaje owoce i przygotowuje przyszłych chrześcian i zarazem apostołów świętej wiary.

Afryka. Port-Tewlik. S. Vacher donosi Przew. Matce Lamartinie o odwiedzinach, jakie ich Dom miał. Przybył mianowicie wyższy lekarz wojskowy turecki udający się do Djedach, aby czuwać nad zdrowiem pielgrzymów powracających z Meki, aby zarazy nie przywlekli ze sobą. Dostrzegł — jak powiada — kornety i przybył pozdrowić Siostry. Był on na studyach w Paryżu, tam też ciężko chorował i był pielęgnowany wtedy przez Siostry, stąd jego wdzięczność.

W Paryżu bywał często u św. Sulpicyusza i chwali bardzo ceremonie kościelne.

Ameryka. Cali (Kolumbia). Uroczystość N. P. od cudownego Medala i tu się odbyła wspaniale. Mnóstwo osób przystąpiło do św. Sakramentów. Wśród Mszy św. wypowiedział X. Wizytator tamtejszy stósowne kazanie; rozdano wiele medalików N. Panny *Virgen de las gracias* — jak tu mówią. Na prowincyi wszędzie celebrują w tych uroczystościach XX. Biskupi lub proboszczowie. Czarni i biali otrzymują i noszą cudowne medaliki.

Palmira. Tu również 27 listopada uroczystość ta odbyła się pięknie. Niestety nie mógł żaden misyonarz przybyć, aby poświęcić i rozdać medaliki, to też gdy wśród oktawy X. Proboszcz zapowiedział przyjazd misyonarza, entuzyazm był powszechny. Przybył X. Réveillière, dyrektor Sióstr i wizytator. Wszyscy garnęli się do przyjęcia medalika. Prefekt, prezydent miasta, radcy, sędziowie, lekarz, aptekarz — cała więc inteligencya dotąd bardzo liberalna przybyła; wszyscy klęcząc z rękami złożonymi przyjęli medalik.

Equator. Guayaquil. X. Baudelet donosi Najprzew. X. Generałowi o nowej klęsce pożaru, jaka spadła na to miasto 6 października z. r. Niedawno, bo 12 lutego był wielki pożar, ale niczem był w porównaniu do tego. Był to jeden ocean płomieni; połowa miasta i to gdzie koncentrował się handel, przemysł, zgorzała. 1.500 domów się spaliło; 25.000 ludzi zostało bez dachu.

Spaliły się 3 kościoły, 4 kaplice; między tymi piękny kościół Franciszkanów i Dominikanów, kaplica zakonnic Sacrés Coeurs, kollegium i kaplica zakonnic św. Józefa.

Spłonęły również 4 banki i kilka magazynów

wielkich. Ogień powstał w magazynie nowości *La Yoya* i z niesłychaną szybkością się rozszerzał. Mimo ratunku robił niejako przechadzkę, posuwał się tam gdzie chciał; była to ręka Sprawiedliwości Bożej!

Spaliło się kilka kasarni, a przy jednej wyleciał w powietrze magazyn z nabojami tak, że przez godzinę można było sądzić, że wojna. Strzeżono szczególniej teatru, gmachu rządowego, kollegium narodowego. Dom i kaplica Jezuitów ocalała, gdyż znajduje się około teatru, a tego właśnie strzeżono i tak mieli Jezuici *salutem ex inimicis suis.* Dom Zgromadzenia był już bardzo zagrożony. Szkody obliczają na sto milionów franków. Do czterdzieści osób się spaliło między innymi i dwie Siostry z Sacrés-Coeurs.

Nieszczęście to, jak i inne n. p. trzęsienie ziemi w Portoviejo, wojna domowa, były głosem Bożym. W ostatnich bowiem czasach, Bóg był tu bardzo obrażany. Dzienniki radykalne bez przeszkody głosiły bluźnierstwa na N. Sakrament, N. Pannę; na duchowieństwo miotano same oszczerstwa. Bóg sam ujął się o Swą cześć!

NEKROLOG.

Ś. p. ksiądz Filip Mirucki.

Śmierć i tak jeszcze świeża a wielki wyłom czyniąca w nielicznym naszym gronie, utrata tak cnotliwego i niepospolitego kapłana, jakim był ś. p. ksiądz Filip Mirucki, sprawiła na nas bolesne wrażenie, jakoby z małego ogródka cnót naszych zerwano najpiękniejszy kwiat rozlewający w około miłą woń Chrystusową, a nas odarto z blasku i z ozdoby, jaka z niego na nas spływała. Z jego śmiercią stał się ubytek wielki w pracach, jakie według maleńkich sił naszych podejmujemy na chwałę Bożą, a dla nas smutek uciążliwy. Pobledliśmy i pomniejszyli się wszyscy, bo nam i w domu ubyło wiele pięknych przykładów cnót, a przedewszystkiem jak być Kartuzem milczeniem, skupieniem, jak chodzić w obecności Bożej i z Bogiem przestawać i poza domem Misyonarza, który działał prawdziwie według ducha ewangelii nie mając w sobie nic światowego i świeckiego, iście jako mąż Boży oddany cały jak mógł i umiał sprawom Bożym i Bogiem jedynie zajęty. I gdyby nie myśl, że go odwołano do Najmiłościwszego Pana, aby otrzymał nagrodę i był wpleciony w niewiędnący wieniec chwały Chrystusowej, trzebaby bez pocieszenia żałować, bo takie kwiaty nie rodzą się każdej wiosny, ani nie łatwo znajdzie się drugi, który nam tyle wdzięku i powabu przysporzy.

Atoli jeśli śmierć pobożna tego kapłana, który

nas życiem budował, potrzebna już była dla chwały Bożej, to i dla nas nie mogła być bez pożytku, a ten chyba nie najmniejszy, że odtąd możemy już śmiało i swobodnie mówić o wszystkiem, co było dobrego i świętego w jego życiu, a było bardzo wiele, co nas może zbudować, nauczyć i zapalić i nietylko nam, ale i potomnym być przykładem i wzorem. Możemy mówić tem śmielej, że jak powiada wielki Ojciec Kościoła, św. Hilary arelateński, w mowie żałobnej po śmierci poprzednika swego biskupa Honorata: „W wieloraki sposób użyteczna jest rzecz chwalić umarłego, albowiom najpierw, gdy już tego nie ma między nami, któremuby pochwały nasze mogły być przyjemne, wszystkie je wtedy odnieść musimy do samego źródła wszelkiego dobra i łaski, do Boga, któremu się należą, a powtóre, że tam samą tylko cnotę podnosi się i wielbi, gdzie nie ma żadnej obawy pochlebstwa. Chwała więc umarłego w pośrodku zebrania wiernych pełną jest zbudowania, wolną od próżności, nawet zasługi jeszcze przymnaża tego, którego się chwali, bo się nią wielu podnosi i do służby Bożej zaprawia". Niechże i to co piszemy będzie ku zasłudze i chwale ś. p. naszego czcigodnego współbrata a ku naszemu zbudowaniu.

Urodził się ks. Mirucki r. 1829 na ziemi wielkopolskiej w Poznaniu z rodziców pobożnych i bogobojnych. Ojciec jego był z zawodu mistrzem szewskim, obywatelem poznańskim i właścicielem kamienicy przy ulicy szewskiej w Poznaniu, do dzisiaj jeszcze słynnej z umieszczonego na niej cudownego obrazu N. Maryi Panny, któremu zawdzięcza swoje ocalenie. Kiedy bowiem przy końcu zeszłego wieku wielki pożar zniszczył całą tę stronę miasta, ta jedna kamienica mając około siebie same zgliszcza, cudownie



Ś. p. X. Filip Mirucki.

przez ogień nie była tkniętą. Przed tym to obrazem za mojej pamięci, opowiada towarzysz młodych lat ks. Miruckiego, paliła się lampka, jak i dziś, we dnie i w nocy, a na ulicy wieczorem słychać było śpiewy godzinek do N. Panny. Śpiewał je ojciec i matka wraz z czeladką i pewnie młody Filipek.

Matka ks. Miruckiego była poważną i wielkiej cnoty kobietą i jej to po Bogu zawdzięczał on tę dziecięcą prawdziwie pobożność, którą od najmłodszych lat jaśniał przez całe życie. Brała go często ze sobą do kościoła i chodziła z jedynym synaczkiem swoim na pobożną pielgrzymkę nietylko do miasta, ale i za miasto jak do Owińsk, gdzie każdego roku odbywał się uroczysty odpust. Chłopiec wcześnie upodopał sobie w kościele i w posługiwaniu kościelnem. Największą radością było dla niego służyć do Mszy św., a tak widać gorliwie obracał się po kościele i posługiwał, że z tego czasu wyniósł na całe życie pamiątkę swej gorliwości w stłuczonym i skrzywionym palcu u ręki, którą mu ciężkie wieko chrzcielnicy przytłukło. Gdy podrósł, bogobojni rodzice chcąc poświęcić swego jedynaka na chałę Bożą, oddali go do gimnazyum św. Maryi Magdaleny, gdzie odrazu zdolnościami i pobożnością począł między współuczniami celować i odpowiedział doskonale zamiarom rodziców. Uczył się przez cały czas bardzo dobrze, egzamin dojrzałości zdał z pochwałą, a ze swego pierwotnego usposobienia nic nie stracił. Świadczą jego koledzy lat szkolnych, że jako uczeń był obyczajów nieposzlakowanych, zawsze tej samej pobożności, przepędzając kiedy miał chwile wolne od zajęć szkolnych w kościele i znosząc zawsze z tą samą właściwą sobie cichością i spokojem każdą przymówkę, które

nie raz spadały na niego za te godzinki na ulicy Szewskiej.

Ukończywszy gimnazyum wstąpił do wzorowo wówczas prowadzonego seminaryum duchownego w Poznaniu, które miało dobranych przełożonych i profesorów i z którego przedtem i teraz jeszcze wychodzili dzielni kapłani, biorący później zaszczytny udział w walce kulturnej. Między nimi ks. Mirucki nie był ostatnim, owszem był pod każdym względem jednym z pierwszych. Ks. Arcybiskup Przyłuski zwrócił też na niego szczególną uwagę i zaraz po wyświęceniu w r. 1854 przeznaczył go na wikaryusza do katedry poznańskiej, a niebawem przybrał do swego boku za kapelana. Temu zaufaniu odpowiedział młody kapłan wielką czcią i przywiązaniem do osoby swego Pasterza, dlaczego do końca życia lubił wspominać i odwoływać się we wszystkiem jako na wzór na to, co czynił i postanawiał ks. Arcybiskup Przyłuski. Z kapelanią zachował posadę wikaryusza, ale nie długo, bo jak świadczy jego przyjaciel, widząc, że jeden z księży nie ma dla siebie odpowiedniego miejsca, zrzekł się na jego korzyć wikaryatu bez względu na to, że tracił przez to połowę swoich dochodów.

Mniej więcej w dwa lata później otrzymał od ks. Arcybiskupa jedno z lepszych probostwo w Graboszewie w tej myśli, że będzie mógł w niewielkiej stosunkowo parafii pracować z wielką dla niej korzyścią. Atoli ks. Mirucki pozostał tam tylko trzy dni. Opowiadają, że była wtedy mroźna zima i że w czasie Mszy św. zamarzła mu postać wina w kielichu, co tak dalece zaniepokoiło jego delikatną duszę i od skrupułów nie wolną, a zapewne i innych wiele obaw nasunęło, że sumienny zawsze, poczuł taką pracę i stanowisko nad swoje siły i usposobienie i powróciwszy

do nóg arcypasterza wymówił się nie od pracy lecz od urzędu, prosząc o inną posadę. Otrzymał teraz penitencyaryę przy katedrze poznańskiej. Słyszeliśmy z tego czasu piękne świadectwa o jego gorliwości, z jaką przesiadywał nieustannie w konfesyonale i słuchał spowiedzi. Nie mniej gorliwie brał się już wtedy do kazań, a chociaż mówił jeszcze nie śmiało, lubiono go słuchać, bo robił wrażenie wielkiej pobożności, skupienia i przejęcia się tem, czego nauczał.

Tymczasem dojrzewało w nim prawdziwe powołanie do życia doskonalszego, do którego pociągała go łaska, ale nie odrazu jasno i pewnie, gdzie miał na to pracować. Pod wpływem tego powołania w 29 roku życia po czteroletniej pracy jako kapłan świecki wstąpił do zgromadzenia OO. Filipinów na Jasnej Górze w Gostyniu, najlepiej wówczas znanego i najliczniejszego w archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej. Ale że widocznie nie tam dotąd Bóg go prowadził, więc już po kilkunastu miesiącach zapadł ciężko na zdrowiu, co dalszy jego pobyt w Gostyniu przerwało i byłby może uległ piersiowej chorobie, gdyby nie troskliwa opieka Sióstr Miłosierdzia w szpitalu w Poznaniu, gdzie się teraz schronił. To zetknięcie miało go sprowadzić między synów św. Wincentego. Zgromadzenie nasze bardzo mało było wówczas znane w dyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej. W roku 1836, gdy rząd pruski skasował wszystkie zakony, uległo wspólnemu losowi i odtąd przebywał w Poznaniu tylko jeden wielkiej cnoty stary Misyonarz, jako spowiednik Sióstr Miłosierdzia, ks. Grendziński. Dopiero z chwilą jego śmierci r. 1858 łączy się powstanie nowego domu fundowanego przez Siostrę Elżbietę Mycielską, w którym na początku zainstalowało się dwóch Misyonarzy. Był między nimi ks. Ka-

mocki. Z tym to świątobliwym kapłanem poznał się teraz ks. Mirucki i niewątpliwie pod jego równie jak i pod wpływem Sióstr Miłosierdzia postanowił wstąpić do Zgromadzenia XX. Misyonarzy. Seminaryum odbył w Paryżu z wielką gorliwością i z ogólnem dla wszystkich zbudowaniem, o czem gdybyśmy nawet od współczesnych nie wiedzieli, świadczyłoby wymownie całe jego późniejsze życie i postępowanie. Tam nauczył się być miłośnikiem reguł i życia wspólnego i wyniósł tę cenną umiejętność, którą tylko dobrze odbyte seminaryum dać może, dostosowywania do swego powołania i do reguł wszystkich zajęć i prac kapłańskich, aby będąc dobrym kapłanem, być nadto dobrym Misyonarzem. Przynosi to ze sobą łaska powołania, tylko trzeba umieć i chcieć z niej wydobyć ten owoc. Być więc zawsze na ćwiczeniach duchownych mimo jakiejkolwiek pracy, zawsze w swoim czasie i we wspólny sposób, a niczem od zwyczajnego porządku nie odstąpić, czynić wszystko (a był zwłaszcza bardzo miłosierny i dużo pieniędzy ze swego majątku rozdał) według reguł i z pozwoleniem, odmierzyć każdy swój krok odpowiednio do swego powołania i jego obowiązków, tośmy widzieli wszyscy, że było powszednią własnością tego współbrata naszego, ale wszyscy, co go znali, mówią, że takim był zawsze od samego seminaryum. Był aż tak drażliwy o zachowanie reguł, że kiedy miał szczególne jakie pozwolenie, a przypuszczał, że ktoś o niem nie wie, spotkany lub widziany zaraz tłomaczył, że on tego nie czyni bez pozwolenia, co niewątpliwie wyrobiło się u niego nie z chęci usprawiedliwienia siebie, lecz z obawy, aby nie dać jakiej okazyi do lekceważenia reguł.

Z Paryża wysłał go Ojciec generał Etienne

r. 1860 do Poznania, gdzie przez lat kilka pracował już to przy szpitalu, już jako spowiednik Sióstr Miłosierdzia, a gdy znów w r. 1873 zwinięto na pewien czas dom Zgromadzenia w Poznaniu, przeniósł się do Chełmna i tu w zakładzie wychowawczym Sióstr Miłosierdzia uczył religii, spowiadał Siostry i brał kilkakrotnie udział w misyach. W r. 1866 został przeniesiony do prowincyi krakowskiej, gdzie zrazu przebywał w Krakowie, a w kilka miesięcy potem objął we Lwowie urząd superiora nowo powstałego domu u św. Kazimierza. Nie trwało to jednak długo, gdyż mając wiele przymiotów i darów najmniej miał tych, które są niezbędnie potrzebne, aby drugim przewodniczyć i dźwigać korzystnie ciężar tego urzędu, co zreszłą z wielką dla siebie chwałą sam najlepiej poznawał. Ustąpił więc po roku niespełna z tego stanowiska, pracując następnie przez kilka lat jako kapelan w więzieniu św. Maryi Magdaleny, a gdy to zajęcie spadło r. 1872 na ks. Binka przybyłego ze zniesionego domu w Chełmnie, powrócił do Krakowa i odtąd przez 25 lat z nakładem spełniał najrozmaitsze prace misyonarskie między Lwowem, Krakowem i Poznaniem, oddając nieocenione przysługi obydwom Zgromadzeniom św. Wincentego. Odprawiał misye, dawał rekolekcye, jeździł do Poznania, Chełmna i na Szląsk Pruski jako dyrektor Sióstr Miłosierdzia, głosił z niezrównaną gotowością słowo Boże najpierw w kapliczce, potem w kościółku św. Wincentego na Kleparzu, był przez kilka lat dyrektorem, później wicerektorem seminaryum na Stradomiu, spowiadał po wszystkich niemal domach Siostry Miłosierdzia, katechizował wytrwale w każdą niedzielę i święto dziatwę zbierającą się w szkole u Sióstr, słowem był zawsze i wszędzie na zawołanie i w nowo powstającej pro-

wincyi wśród braku sił a licznych potrzeb i zajęć stał jak żołnierz na wyłomie z gotowością do wszystkiego i przechodził z niezrównanym spokojem i zaparciem siebie od zajęcia do zajęcia, od pracy do pracy, aż niemal do przedednia śmierci.

Atoli wyłączną, że tak powiemy specyalnością jego pracy i treścią jego życia, było szczęśliwie zaiste i zgodnie z powołaniem Misyonarza — przepowiadać, *praedicare*. Słowo było zaszczytnem narzędziem, którem ten sługa Pański doskonale władał a nadewszystko skutecznie w winnicy Kościoła Chrystusowego pracował i owszem, nie wahamy się powiedzieć, że sam stał się godnym i czyste jego usta, aby były narzędziem Ducha św. z nieśmiertelnem i żyjącem zawsze w Kościele dziele przepowiadania. Przepowiadał na misyach, chociaż na misyach stosunkowo najmniej dla słabego zdrowia i sił niewielkich, przepowiadał na rekollekcyach, których niktby nie zliczył, ile dał Siostrom Miłosierdzia, różnym Zgromadzeniom zakonnym, kapłanom świeckim, po więzieniach, dziatwie w zakładach wychowawczych, przepowiadał na ambonie po wielu kościołach, a po raz ostatni z wielkiem powodzeniem w kościele OO. Dominikanów w Krakowie w czasie oktawy Różańcowego nabożeństwa. Ufamy też, że kiedy stanął przed Panem i Zbawicielem swoim, mógł powiedzieć z otuchą: Panie mój, choćem był słaby i nieśmiały, nie rzutki z natury, przecież łaską twoją wsparty, psem niemym nie byłem, usługiwania słowa pilnowałem, przepowiadałem, nalegałem wczas nie wczas, prosiłem, łajałem z wszelką cierpliwością i nauką, na wszystko, na co mię posłałeś szedłem i wszystko, cokolwiek rozkazywałeś, mówiłem, prosiłem aby mi Bóg otworzył drzwi mowy ku opowiadaniu tajemnicy Chrystusowej, aby były

zdrowe i nienaganne słowa moje, abym nie przepowiadał siebie samego, ale Jezusa Chrystusa. Wszystko to mógł powiedzieć, bo wszystko to było w jego przepowiadaniu.

Miał swój oryginalny i właściwy sposób mówienia. Złożyły się na niego łatwa pamięć, swobodne i poważne wysłowienie, oczytanie w przedmiotach duchownych i pewien pietyzm dla każdego zdania i słowa świętych, upodobanie w krótkich porównaniach, ale przedewszystkiem głębokie przejęcie się tem, co mówił tak, iż zdawało się, że słowa swoje gdzieś z głębi duszy i serca wydobywa i to wreszcie, co pod tem wszystkiem było jakby tłem jego nauk — wielka świętość duszy. W młodości miał mówić bardzo nieśmiało, później nabrał swobody i śmiałej gestykulacyi. Przygotowywał się prędko i dlatego był gotów zawsze do mówienia, bo jego codzienne życie było nieustannem przygotowaniem przez milczenie i skupienie, w jakiem zostawał, przez czytanie, na które pilnie obracał każdą wolną chwilę i przez częstą modlitwę. Był słuchany przez wszystkich mile, ze zbudowaniem, a przedewszystkiem z korzyścią, bo przejmował tem co mówił, a wiele czynił sam widok jego poważnej twarzy, szlachetnie rozentuzyazmowanej, na której rozlały się wszystkie dobre uczucia jego duszy. Z tą twarzą miał jednak trochę kłopotu, bo jeżdżąc do Prus pragnął być niepoznanym dla bezpieczeństwa i dlatego ubierał się po świecku, ale ona dziwnie jakoś wyglądając z tego nie swojego otoczenia, wszystko niedyskretnie zdradzała. Pozostało więc wiele anegdotek żartobliwych o ks. Miruckim, jak się po świecku przeprawiał do Prus.

A teraz jeszcze słowo o tem, jakim był sam. Zdrowia zawsze bardzo słabowitego, z usposobienia

cichy i spokojny, łagodny, gniewać się nie umiał, mówił nie wiele, ale w rozmowie był bardzo miły, lubił gdy pożartowano przystojnie, uśmiechając się wtedy z przedziwną słodyczą, zresztą był zawsze bardzo poważny, skupiony, jakby zamodlony. Z nadprzyrodzonych darów jego duszy jaśniała w nim i uderzała wszystkich, którzy go bliżej znali, równie jak i tych, co go raz tylko widzieli prawdziwa świętość, o ile świętość jest oddaleniem od grzechu i panowaniem łaski w człowieku. Prawdziwie spoczął na nim od młodości duch Bojaźni Pańskiej, który go tak cale i szczęśliwie przeprowadził, że dziś mogą ci, którzy go dobrze znali z całą pewnością twierdzić, że w życiu swojem jednego grzechu śmiertelnego nie popełnił. Co mówił św. Augustyn o swojej matce św. Monice, to my dziś możemy o tym kapłanie powtórzyć: „Była w sercu jego bojaźń czysta jako związka, która wiązała jego myśli, w ustach jako wędzidło, które powściągało jego język, w uczynkach jako bodziec, aby w nieczynności nie zgnuśniał, we wszystkiem jako reguła, aby miary nie przebrał“. Bojaźń grzechu unosiła się nad uczynkami jego jakby powiewna i lotna jakaś osłona, którą zdało ci się, żebyś mógł był dotknąć i ująć, tak była widzialną i dotykalną. Pod tą osłoną on zawsze chodził, mówił, czynił i pracował a łaska Ducha św., która nią była, musiała mu nieustannie mówić w duszy: „aby nie zgrzeszyć“, i dlatego niekiedy wydawał się zbyt bojaźliwy, za młodu musiał być bardzo skrupulatny, mniej później, dla niektórych zwłaszcza słabych w cnocie, albo zbyt swobodnych nudnym, ale w rzeczywistości i w rezultacie bardzo szczęśliwym, w ostatecznej ocenie wielce wartościowym, dla siebie i dla drugich niezmiernie użytecznym. Była to więc bojaźń rzadka, bo nie zwykła chorobliwa, co nie

uświęca, ale zdrowy owoc szczególnej łaski. Nigdy nie skłamać, nie powiedzieć jak nie jest, nawet komunałów najzwyklejszych, zanimby się zapewnił, że one w tym wypadku są prawdziwe, nie urazić nikogo choćby mimowolnem słowem, a jeśliby przypuszczał, że mógł urazić, zaraz przeprosić, starać się, aby o ile możności odmówić swój brewiarz bez roztargnienia żadnego, oto kilka zaledwie codziennych objawów tej delikatności i czystości sumienia w przedmiocie grzechów.

Z świętością życia szły w parze duch modlitwy, skupienia wewnętrznego i serdeczna pobożność. Modlił się z wielką przykładnością. Często widzieć go można było klęczącego przed ołtarzem Męki Pańskiej w kościółku na Kleparzu, bo do męki P. Jezusa miał szczególne nabożeństwo. Często nawiedzał Najśw. Sakrament, Mszę św. odprawiał z przedziwnem skupieniem. Życie zewnętrzne i otoczenie tak dalece nie działało na niego, że jadąc tramwajem nieraz napełnionym wielu osobami, modlił się i z całą swobodą odmawiał koronkę.

Taka piękność i świętość jego duszy wprowadzała wszędzie, gdzie był, a najwięcej w dom nasz na Kleparzu, gdzie najdłużej przebywał jakoby zaczyn cnót wielu i stała się drogim skarbem i bogactwem Zgromadzenia. Cieszyliśmy się nim i błogosławiliśmy Boga, gdy wielu ubywało innych, że nam go zostawia chociaż słabowitego, ale czynnego nieustannie, tem droższego, im więcej potrzebowaliśmy jego wieku, jego cnoty, jego przykładu. Niestety zaprędko nadeszła chwila, gdy Bóg osądził, że już wysłużył się wierny jego sługa dosyć. Zdjadliwa choroba skira miała oddawna w jego organizmie swój zaród, bo była mu dziedziczną; życiem regularnem i wstrze-

mięźliwem niezawodnie opóźniona, wystąpiła w gardle tem gwałtowniej przy końcu października r. 1896 szybkim krokiem postępując naprzód. Zrazu wstrzymała chorego od ambony, później złożyła go na łoże, utrudniła mu mowę, przyjęcie wszelkiego posiłku i co mu było najboleśniejsze, zrzadka tylko pozwoliła jednoczyć się z Boskim Zbawicielem w Komunii świętej. Cierpiał bardzo wiele. Bóg chciał przeprowadzić przez próbę cierpienia tego sługę swego dla jego większej chwały i zasługi w tem właśnie, czem on go najwięcej w życiu uwielbiał. Zwykła to droga najmiłościwszej Dobroci Bożej.

A wtedy stało się, co zazwyczaj się dzieje u dobrych sług Bożych, że dusza jego w tej próbie piękniejszą się jeszcze pokazała i jakby na odejście rzuciła ostatni jaśniejszy blask swej cnoty. Wiadomość o pewnej i zbliżającej się śmierci przyjął z najzupełniejszym spokojem i z budującem poddaniem się woli Bożej, a wielkie dolegliwości swej choroby znosił z taką cierpliwością i cichością, że nigdy żadnego narzekania lub niezadowolenia nikt u niego nie słyszał. Ostatnie miesiące swej choroby przepędził pod troskliwą opieką Sióstr Miłosierdzia w zakładzie im. Helclów, oddających mu z wielką dla siebie pociechą dowody swej wdzięczności za wszystko, co im dobrego uczynił. Coraz większem skupieniem i zjednoczeniem swej myśli i serca z Bogiem przygotowywał się do dnia wieczności. Kilka dni przed śmiercią, gdy już nie mógł nic mówić, szeptały jego wargi nieustannie: Jezu mój miłosierdzia. Przytomność zachował do ostatnich chwil, utracił ją dopiero na pół godziny przed śmiercią, która nastąpiła lekko i spokojnie po godz. 7 wieczorem we wtorek 9 marca. Ciało sprowadzone do domu Zgromadzenia wystawione było

w kaplicy katechizmowej na Kleparzu, a w piątek po nabożeństwie wśród licznego udziału wiernych odprowadziliśmy je pięknym pochodem i uroczystym śpiewem na głosy na cmentarz, gdzie spoczęło w pobliżu kaplicy i niedaleko Najsłodszego Zbawiciela w Sanctissimum oczekuje dnia zmartwychwstania.

Zmarli:

X. Jan Baget, 74 lat życia, 49 pow., † 19 marca w Tripolis (Syrya).
X. Antoni Woeber, 70 lat życia, 37 pow., † 5 kwietnia w Graz (Austrya).
Ferdynand Ronanet, kleryk, 23 lat życia. 5 pow., † 9 kwietnia w Dax (Akwitania).
X. January Tagliaferri, 72 lat życia, 54 pow., † 11 kwietnia w Veregini (Neapol).
X. Jan Grolli, 73 lat życia, 33 pow., † 14 kwietnia w Rzymie (Rzym).
X. Michał Cavangle, 55 lat życia, 36 pow., † kwietnia w Nowym Orleanie (Stany Zjednoczone).
X. Henryk Sinard, 47 lat życia, 26 pow., † 22 kwietnia w La Teppe (Lyon).
X. Kamil Bareil, 61 lat życia, 41 pow., † w maju w Rio de Janeiro (Brazylia).
X. Lu, 70 lat życia, 49 pow., † w maju w Tcheng-Ting-fon (Chiny).
Jakób Calmet, brat, 73 lat życia, 47 pow., † 12 czerwca w Lyonie (Lyon).
Jan Demad, kleryk, 25 lat życia, 6 pow., † 15 czerwca w Wernhontsburg (Pikardya).

R. I. P.

MANUALIK „DZIECI MARYI“

CZYLI

ZBIÓR PRZEPISÓW, RAD I MODLITW

TEGOŻ STOWARZYSZENIA.

Wydanie nowe z obrazkami, str. 700.

Wydawnictwa Księży Misyonarzy
(Kraków, Kleparz 19).

Przewodnik grzeszników czyli nauka dla wszystkich stanów o zacności i pożytkach cnót i o drodze do nich wiodącej, przez WX. Ludwika z Grenady — wydanie Księży Misyonarzy. Cena egz. opr. loco **1 zlr. 60 cnt.** (3 marki).

Wiadomość o Najśw. Pannie w Lourdes. Prócz opisu znaczniejszych cudownych łask, jakich za użyciem wody z Lourdes pobożni wierni doznali, tudzież Nowenny do tejże cudownej N. Panny, dodano modlitwy i akty pobożne dla chorych i konających, tudzież pieśń i Litanię do tejże Najśw. Panny. Wydanie ozdobne, najnowsze z r. 1895. Cena broszury **20 cnt.** (40 fen.)

Narzędzia Męki Chrystusowej przez znakomitego kaznodzieję IMĆ. X. Veit, przekład X. Chołoniewskiego, wydanie Księży Misyonarzy r. 1891. Dobre do czytań i nauk Pasyjnych. Cena **1 zlr. 25 cnt.** (2 marki 40 fen.).

Wiadomość o trzech szkaplerzach tj. **niebieskim, czerwonym i czarnym,** z dołączeniem nabożeństwa do Najśw. Panny i do Męki Pańskiej. Cena broszury **10 cnt.** (20 fenigów).

Cuda Łaski Miłosierdzia Bożego oraz Nowenna za dusze w czyśćcu cierpiące. Cena egz. **15 cnt.** (30 fen.)

Wspomnienie o życiu i śmierci Bł. Jana Gabryela Perboyre, Misyonarza umęczonego w Chinach. Cena **20 cnt.** (30 fen.).

O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa Tomasza a Kempis — z dodatkiem licznych modlitw. Cena egz. nieopr. **60 cnt.** (1 markę), opr. **75 cnt.** (1 markę 30 fen.).

Roczniki Dzieła św. Dziecięctwa P. Jezusa, wychodzą co kwartał. Prenumerata wynosi rocznie **20 cnt.** (30 fen.).

Nowenna do św. Wincentego à Paulo. Cena **15 cnt.** (30 fen.).

Adoracye czyli 12 godzin przed Najśw. Sakramentem. Zbiór pięknych uwag, nauk i rozmyślań pobożnych o Najśw. Sakramencie z dodaniem procesyi na Boże Ciało, tudzież pieśni i hymnów o N. Sakr. Oprawne **50 cnt.** (1 marka).

Nabożeństwo Kościelne, czyli mszał rzymski po łacinie i po polsku na cały rok. Oprawa w szagryn **4 zlr. (7 m.).**

Wiadomość o Cudownym Medalu N. P. Broszur. **10 ct.** (20 f.)

Maksymy św. Wincentego 40 ct. (80 fen.).

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.